

KATOLICKIE STOWARZYSZENIE
CIVITAS CHRISTIANA
ODDZIAŁ W NOWYM SĄCZU

ISSN 1232-5910

ALMANACH SĄDECKI

GŁOS z Nowego Sącza

Wychodzi dnia 1^o i 15^o w miesiącu

LUDOWIEC 
 **SĄDECKI**

ROK. 5. Nowy Sącz dn. 8 VII. 1912. L. 14.

EMISSARFUS
TYGODNIK

R. VI
NR 2 (19)



INCO - VERITAS Sp. z o.o. 0512007

**ZAKŁAD PRODUKCJI ARTYKUŁÓW ŚCIERNYCH
34-630 MSZANA DOLNA, ul. Spadochroniarzy 8
POLAND**

**Telefon: 60, 160, 327, 328
Telex: 0325305**

**Podstawowy asortyment produkcyjny
Zakładu "INCO-VERITAS" w Mszanie Dolnej:**

- ściernice o spoiwie żywicznym
- krążki nasypowe incofibr
- pasy bezkońcowe
- taśmy i arkusze ściernie



Zasadniczym wyrobem wśród ściernic o spoiwie żywicznym są tarcze ściernie, z elektrokorundu zwykłego i węgla krzemu, do cięcia metalu, betonu oraz fleksy.

KATOLICKIE STOWARZYSZENIE
CIVITAS CHRISTIANA
ODDZIAŁ W NOWYM SĄCZU

ALMANACH SĄDECKI

R. VI NR 2 (19)



Nowy Sącz 1997

Almanach Sądecki (kwartalnik)
Wydawnictwo Katolickiego Stowarzyszenia
Civitas Christiana w Nowym Sączu
ul. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego 3
tel. (018) 52



Redakcja: Marek Basiaga
Leszek Migrala — red. naczelny
Stanisław Pażucha

Projekt okładki: Barbara Magierowa

Skład komputerowy: BIKER
Nowy Sącz, tel./fax (018) 42 81 61

Druk: S.C. „BAAD”
Nowy Sącz, ul. Gwardyjska 38, tel. (018) 41 28 25

Akc. 19 r.

Maria Kowalska

WINCENTY GAWRON ARTYSTA MALARZ, GRAFIK I WITRAŻYSTA

Dzieciństwo jego przypadło na okres, kiedy Limanowa była jeszcze pod zaborzem austriackim.

Urodził się 28 stycznia 1908 r. w Starej Wsi, jako syn tamtejszego wójta **Jana Gawrona**. Przez cały okres wojny 1914–1918 w domu Gawronów często bywali różni żołnierze, a ich mundury były przedmiotem zainteresowania Wicka. Jako uczeń szkoły podstawowej w Limanowej, narysował raz na ławce szkolnej austriackiego żołnierza, modlącego się pod krzyżem. Na ten rysunek zwrócił uwagę ks. katecheta **Michał Skóra**, rozgłaszając w szkole wiadomość o talencie Wicka. Jedna z nauczycielek podarowała mu wówczas zeszyt, oraz komplet kredek ołówkowych, aby zachęcić go do dalszego rysowania. Cały zeszyt wypełnił kolorowymi scenami batalistycznymi, oddał go nauczycielce, a w zamian otrzymał nowy zeszyt. Po ukończeniu szkoły podstawowej za wszelką cenę chciał wyrwać się w świat. Doszła do niego wiadomość, że Rada Powiatowa w Limanowej łącznie z Powiatowym Zarządem Drogowym organizuje kurs przewodników drogowych we Lwowie. Zapisał się na ten kurs, a po ukończeniu go został przyjęty na praktykę w Zarządzie Drogowym w Limanowej za 50 zł miesięcznie. Przez pewien czas tam pracował, jednak wciąż myślał o dalszej nauce. Nie była to prosta sprawa, gdyż po wojnie bieda panowała we wszystkich rodzinach, na kształcenie dzieci niewielu rodziców mogło sobie pozwolić. We Lwowie mieszkała starsza siostra Wicka **Katarzyna Markowska**, dlatego podjął starania o przyjęcie go do tamtejszej Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych. Liczył na pomoc materialną ze strony siostry, tymczasem ona sama z trudem dawała sobie radę. Na następny rok przeniósł się do szkoły zdobniczej w Krakowie, mieszczącej się w budynku Szkoły Przemysłowej. Jako kierunek wybrał sobie grafikę, a jego profesorem był

Henryk Uziębło. Otrzymał niewielkie stypendium oraz zwolnienie z tzw. „czesnego”, co umożliwiło mu dalszą naukę. Jako uczeń krakowskiej szkoły zdobniczej brał udział w konkursach artystycznych, zdobywając pierwsze nagrody m. in. za plakat „*Nasze mieszkanie*” oraz za projekt witraża do tamtejszego kościoła garnizonowego pw. św. Agnieszki.

W 1935 r. został przyjęty do Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, od razu na II rok. Studiował tam głównie grafikę oraz drzeworytnictwo pod kierunkiem wybitnych profesorów: **Stanisława Ostoi Chrostowskiego**, **Edmunda Bartłomiejczyka** i **Tadeusza Kulisiewicza**. Projektował w tym okresie pocztówki harcerskie oraz świąteczne, które przynosiły mu spory dochód, prócz tego wykonywał ilustrację do różnych czasopism o tematyce wojskowej, patriotycznej, religijnej. Zyskał sobie poprzez to popularność, dlatego Towarzystwo Ochrony Sztuki Ludowej zatrudniło go w celu rysowania tablic do mającego ukazać się drukiem atlasu strojów ludowych. Z powodu wybuchu II wojny światowej Gawron nie ukończył studiów, gdyż Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie zawiesiła swoją działalność. Z bombardowanej Warszawy wyjechał w rodzinne strony i zajął się projektowaniem witraży do limanowskiego kościoła. Na jednym z nich przedstawił siewcę — czyli swojego ojca Jana Gawrona w Inianej sukmanie, na tle okolicznych gór. W górze nad nim Matka Boża Siewna, błogosławiąca jego pracę. Na drugim witrażu centralną postacią jest młoda dziewczyna, trzymająca w ramionach orła białego z rozpostartymi do lotu skrzydłami — symbol wolnej Polski. Nad dziewczyną i orłem unosi się Bóg Ojciec, otaczający opieką nasz kraj. W tym samym czasie wykonał też projekty witraży do kościoła w Paszynie. Równocześnie przez cały czas działał w podziemnej organizacji Związek Czynu Zbrojnego.

W styczniu 1941 r. został aresztowany przez Niemców w Mordarce, w domu swojej siostry **Marii Biernat**. Przywieziono go do więzienia w Nowym Sączu, gdzie został dotkliwie pobity, potem do Tarnowa, a stamtąd do obozu zagłady w Oświęcimiu. Zaraz po przyjeździe musiał oddać swoje ubranie, a wciągnąć na siebie połatanе obozowe łachy, oraz czapkę za małą na głowę. W pamiętniku *Ochotnik do Oświęcimia* napisał „*Spojrzałem na siebie — wyglądałem żałośnie. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że oto zostałem heftlingiem i obozowym numerem — 11237*”. Więźniowie ubrani w cienkie pasiaki pracowali ciężko na dworze, bez względu na mróz i deszcz, gdyż obóz wciąż rozbudowywano. Z powodu zimna, głodu, ciężkiej pracy, tortur, masowo umierali. Najgorzej obchodzono się z Żydami, kierując ich od razu do tzw. „karnej kompanii”, a stamtąd już nikt żywy nie wychodził. Co pewien czas odbywały się masowe egzekucje np. w czerwcu 1941 r. w dniu imienin Władysława Sikorskiego rozstrzelano 78 więźniów, natomiast w dniu Święta Niepodległości Polski 11

listopada zginęło 48 więźniów. Niedługo po tym Niemcy przywieźli transport kobiet i zaraz wszystkie zostały rozstrzelane. Wśród nich Gawron rozpoznał znajomą dziewczynę **Zosię**, narzeczoną **Kluski**, który wraz z nim przebywał w Oświęcimiu. Wszystkie te wydarzenia odnotowywał Wincenty Gawron na kartkach, z trudem zdobytych, rysował dramatyczne sceny oświęcimskie oraz karykatury oprawców. Sam miał od początku lepsze warunki życia w obozie, ze względu na zdolności artystyczne. Przydzielono go do pracy w obozowej pracowni rzeźbiarskiej, gdzie projektował ozdobne noże do rozcinania papieru, rysował róże, które następnie były rzeźbione na kasetkach, a najwięcej wykonał portretów esesmanów. Niemcom podobały się szczególnie wykonywane przez niego portrety, dlatego często otrzymywał za nie dodatkową żywność, głównie chleb. Wśród więźniów rozpoznał wielu swoich znajomych z Limanowej, Nowego Sącza i Zakopanego. Obdarowywał ich kiedy tylko mógł dodatkowym otrzymanym chlebem. W pamiętniku *Ochotnik do Oświęcimia* napisał jaki los spotkał w obozie każdego z nich.

Na terenie obozu spotkał się z więźniem **Witoldem Pileckim** pseud. Tomasz Serafiński, ochotnikiem do Oświęcimia. Ten mądry i odważny żołnierz TAP później AK, celowo pozwolił się złapać Niemcom, aby przyrzeć się zbrodniom na terenie obozu, pomagać więźniom, a po spełnieniu swoich zamiarów zbiegł z Oświęcimia. To co tam widział przekazał w raporcie gen. **Grotowi-Roweckiemu**. Wcześniej ułatwił ucieczkę z obozu Wincentemu Gawronowi, gdyż groził mu wyrok śmierci za uchylanie się od malowania obrazu *Drang nach Osten*. Dzięki Pileckiemu został przyjęty na krótko do szpitala obozowego, a stamtąd przeniesiony do filii obozu Harmense, odległej o 4 km. Tam więźniowie byli lepiej traktowani i ucieczka była łatwiejsza. Harmense miało stać się wkrótce obozem kobiecym, dlatego trzeba było szybko decydować się na ucieczkę. Gawron postanowił za wszelką cenę zabrać ze sobą pamiętnik. Więzień **Władek Kupiec** przeciął na dwie części lipową deskę, wydrążył ją w środku, a po włożeniu tam pamiętnika ładnie zakleił. Po jednej stronie wyrzeźbił głowę górala, aby deska przypominała płaskorzeźbę. W Harmenze oczekiwał już na Gawrona więzień **Stefan Bielecki**, który miał gotowy plan ucieczki, dobrze obmyślony.

Postanowili obydwaj wyskoczyć przez wybite wcześniej okno w pracowni stolarskiej, w chwili gdy esesmani będą jeść kolację. Potem mieli dwie możliwości — przeczołgać się w pobliskie wikliny, albo uciekać w otwarte pole. Bielecki wybrał ucieczkę w otwartą przestrzeń, bo spodziewał się, że Niemcy będą ich szukać najpierw w wiklinach. Pościg za nimi ruszył bardzo szybko, zdążyli tylko doczołgać się do pobliskiego stawu. Zgodnie z przewidywaniami Bieleckiego Niemcy pojechali najpierw nad rzekę. Jeden strażnik wybrał się samotnie na rowerze w kierunku stawu, jednak nie strzelał, chociaż widział ich dokładnie. Po czasie Gawron dowiedział się,

że strażnik wybiegł wprost od kolacji i zapomniał pistoletu. Uciekali szybko po zaoranych polach, a kiedy pościg ruszył w ich stronę, byli już daleko. Mieli dobrą orientację, gdzie są poszukiwani, gdyż Niemcy oświetlili pola reflektorami. Po pewnym czasie pościg ustał, a oni pod osłoną nocy poszli w kierunku Mszany Dolnej. Po tygodniu ciężkiej wędrówki dotarli w dniu 23 maja 1942 r. do Mordarki koło Limanowej, gdzie zaopiekowała się nimi rodzina Gawronów.



**Wincenty Gawron
jako młody żołnierz**

Pomimo wszelkich trudów, udało się Gawronowi przynieść do Limanowej deskę z głową górala, a w niej ukryte materiały oświęcimskie, które posłużyły potem do napisania pamiętnika *Ochotnik do Oświęcimia*. Po tygodniu wypoczynku Stefan Bielecki wędrował pieszo w kierunku Warszawy, natomiast Wincenty Gawron pod pseud. „Kowalewski” został komendantem partyzanckiego oddziału AK koło Łukowicy.

W 1944 r. Niemcy zdemaskowali tę organizację, wówczas Gawron śladem Bieleckiego udał się do Warszawy, aby walczyć w powstaniu warszawskim. Za ofiarą walkę w obronie Ojczyzny otrzymał stopień pułkownika. Wielu żołnierzy polskich dostało się do obozu niemieckiego w Pruszkowie, po upadku powstania warszawskiego, a wraz z nimi Wincenty Gawron. Szczęście nadal mu sprzyjało, bo stamtąd również zbiegł, jednak już do końca wojny ukrywał się w domu pewnego gospodarza poza Warszawą.

Po klęsce Niemiec w 1945 r. był wolny, śmiało więc pojechał do kolegi pseud. „Twardy”, mieszkającego w Warszawie. Niespodziewanie znalazł się w trudnej sytuacji, bo zamiast kolegi zastał w mieszkaniu dwóch szpiclów NKWD, czekających na gospodarza. Został zaraz zatrzymany, bo znaleziono przy nim dokumenty z prawdziwym nazwiskiem, oraz materiały dotyczące powstania warszawskiego. Nocą jeden ze szpiclów zasnął w mieszkaniu „Twardego”, a drugiemu wyrwał się podstępnie Gawron i zbiegł. Niezwłocznie opuścił Polskę, udając się przez Czechy do Włoch, a potem do Anglii. Zabrał ze sobą niewielki zbiór orzełków od czapek polskich żołnierzy z okresu I i II wojny światowej. Tę skromną kolekcję powiększył we Włoszech i w Anglii, gdyż spotkał tam wielu polskich żołnierzy II Korpusu m. in. ks. **Jońca** z Limanowej w stopniu porucznika. On też podarował mu orzełka od swojego beretu. Z Anglii wyjechał Gawron do Kanady, a stamtąd w 1956 r. już na stały pobyt do Chicago w USA.

W Kanadzie wykuł dla tamtejszego kościoła w Redelij metalowy ołtarz, jako votum dziękczynne za przetrwanie ciężkich dni w okresie okupacji hitlerowskiej. Przeżył, bo w porę opuścił Polskę, zniewoloną przez sowietów, natomiast rtm. Witolda Pileckiego spotkał okrutny los za pracę konspiracyjną przeciwko NKWD i UB. W maju 1947 r. został aresztowany i skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano w dniu 25 maja 1948 r., w więzieniu mokotowskim w Warszawie.

W Chicago Wincenty Gawron kontynuował nadal działalność artystyczną i publicystyczną. Projektował odznaki wojskowe, medale pamiątkowe, serie znaczków pocztowych, witraże. Jego dziełem jest piękna winieta, która zdobi do obecnej pory okładkę czasopisma „*Tatrzański Orzeł*”. Współpracował z Klubem Numizmatycznym w Chicago jako kurator, ekspert i znawca eksponatów numizmatycznych. Dla wydawanego przez ten klub miesięcznika „*P.A.N.A.*” zaprojektował okazały emblemat na okładkę. W 1966 r. wykonał dla Polsko-Amerykańskiego Towarzystwa Numizmatycznego w Chicago medal dla uczczenia 1000-lecia istnienia państwa polskiego. Z tej też okazji zaprojektował serię znaczków pocztowych. Jego dziełem był wykonany w 1969 r. projekt frontowej strony medalu „*Bitwa pod Monte Cassino*”. W marcu 1984 zaprojektował drewniany żeton, na którym po lewej stronie widnieje góra



Winieta W. Gawrona zdobiąca okładkę czasopisma „Tatrzański Orzeł”

i klasztor Monte Cassino, a po prawej na tle murów Warszawy znak Polski Walczącej. Wykonał też szatę graficzną płyty „Papież z Polski”. Na szczególną uwagę zasługuje cykl rysunków „Droga Krzyżowa Narodu Polskiego”, przedstawiająca m. in. dramatyczne sceny oświęcimskie. Ponadto malował portrety: Piłsudskiego, z okazji 45-rocznicy jego śmierci, oraz Hallera i Witosa. Na zamówienie dużej firmy projektował witraże, zdobiące wiele kościołów w USA. Gromadzone orzełki stały się podstawą do założenia przez Gawrona Muzeum Wojska Polskiego im. Józefa Piłsudskiego w Chicago. Na zakup eksponatów przeznaczył wszystkie zaoszczędzone pieniądze, nawet odszkodowanie za pobyt w Oświęcimiu poszło na ten cel. Oprócz orzełków zgromadził mundury wojskowe, szable, odznaki, hełmy, ozdoby kołnierzowe, naramienniki, oraz archiwalne fotografie. Udało mu się zebrać kilka tysięcy tych eksponatów drogą zakupu na jarmarkach i aukcjach, oraz poprzez zamianę. Podzielił je na trzy główne działy: „Wojsko Polskie w latach 1914–1945”, „Armia gen. Józefa Hallera”, „Polonia amerykańska i jej organizacje paramilitarne”.

Z biegiem lat sytuacja polityczna w Polsce zmieniła się, minęło też prześladowanie byłych żołnierzy AK. Stęskniony za krajem rodzinnym — Wincenty Gawron — co rok przyjeżdżał latem na dłuższy pobyt do Limanowej. Rozpoczął starania o wydanie drukiem swoich utworów, opartych na faktach, których sam był świadkiem, bądź uczestnikiem. W USA wydał poemat wierszem *Pieśń walczących Gorców* (1989) pod pseud. „Wit Podjabłoniecki”, ozdobiony własnymi ilustracjami. W Polsce natomiast ukazał się drukiem (pośmiertnie) jego pamiętnik *Ochotnik do Oświęcimia*, poświęcony Witoldowi Pileckiemu. Autor oczarowany męstwem tego legendarnego żołnierza AK, zaprojektował i własnym kosztem wykonał płaskorzeźbę poświęconą jego pamięci, która została wmurowana w kościele garnizonowym w Warszawie. Za późno zabrał się za publikację swoich utworów i kilka części jego pamiętników, dotyczących różnych okresów, pozostało jeszcze w postaci maszynopisów. Są to: *Podhalańska Dywizja Śmierci*, *W powstaniu i później* (o powstaniu warszawskim), *Okupa-*

cja w Limanowej, Wspomnienia lat chmurnych, Cicha noc (powieść fantastyczna), oraz *Żywią i bronią* (dramat). Przywiózł je z USA z myślą o publikacji, niestety, sam już się tym nie zajmie, gdyż zmarł podczas pobytu w Polsce w dniu 25 sierpnia 1991 r. w szpitalu w Nowym Sączu. Jako zasłużony żołnierz–artysta został uroczystie pochowany na limanowskim cmentarzu w kwaterze wojskowej. Spoczął w rodzinnym kraju, który ukochał, walczył o jego wolność i odwiedzał do ostatnich swoich dni.

- * Opracowano na podstawie pamiętników Wincentego Gawrona oraz na podstawie relacji Wincentego Gawrona — polonisty, bratanka artysty.

MIŁOŚĆ NIEJEDNO MA IMIĘ

*„Spieszmy się kochać ludzi —
bo tak szybko odchodzą ...”*

ks. J. Twardowski

Miłość — sprawa stara jak ludzkość. Rozmieszczona treściowo między Bogiem a szatanem, przez całe wieki była jednym z głównych źródeł natchnień, pożądań i wzlotów. W górę lub w dół.

To przecież w oparciu o jej motywy powstały najwspanialsze w historii kultur świata dzieła z zakresu poezji, literatury, muzyki i sztuk pięknych.

Była także profesją i dnem. Ale z tym się raczej kryła. I dopiero telewizyjno-filmowi spece od golizny rozebrali ją do reszty z uroczystych szat i ustawili pod latarnią lub w lupanarze. Jako synonim „postępu i demokracji”.

W takiej sytuacji nam, „cudokom”, grzebiącym uparcie w zasobach dziejowych w poszukiwaniu ginących skarbów — pozostało jedno: bronić Miłości, ukazując jej właściwe kształty i promując jej najwyższe wartości. Choćby przez odkrywanie i ukazywanie takich postaci, które Miłość, niekiedy trudną i wymagającą ofiar — niosły przez całe życie — jak Sztandar. Oto jedna z nich.

*

Wojciech Wiktor urodził się 13 IV 1913 r. w ubogiej rodzinie chłopskiej, w Falkowej. Ale w 1913 r. Falkowa była podmiejską wioszczyną, której ludność, poza garstką „Panów Kolejarzy”, żyła z dorywczych zarobków i cierpiała nędzę. No bo jak inaczej, skoro na solidną gospodarkę nie było ziemi, a na dobre zarobki — brakło kwalifikacji i możliwości zatrudnienia.

Ale czas, przewracając ustalone porządki, zahaczył o falkowskie wzgórza i dopro-

wadził do tego, że dzisiejsza Falkowa staje się częścią Nowego Sącza, a wieś ulokowała swą pamięć ... w Skansenie.

Wojtka od dzieciństwa cechowały: zdolność i upór w dążeniu do stania się kimś i czymś. Wątpiąc w możliwości miejscowej jednoklasówki — wprosił się na naukę do sławnej kiedyś w rejonie Nowego Sącza szkoły im. Adama Mickiewicza.

To była dobra szkoła. Wyszła z niej duża ilość ludzi, którzy etapami różnorodnych studiów dobrnęli do szczytowych pozycji w życiu kulturalnym, naukowym, politycznym i wojskowym, sięgając po tytuły profesorów, ministrów i generałów.

Może dlatego, że cechą dobrej szkoły byli dobrzy nauczyciele i wychowawcy. Tacy, którzy kochali młodzież, obserwowali jej życie postawy na co dzień, wyławiając w ten sposób talenty i kierunki specjalnych uzdolnień.

Takiemu właśnie nauczycielowi — poloniście „podpadł” Wojtek z racji zamiowań czytelniczych. Toteż gdy w czerwcu 1929 r. stanął do końcowego egzaminu — polonista uśmiechnął się lekko i zdecydował: *„Masz piątki ze wszystkich przedmiotów, ale ty pójdziesz w moje ślady. Pomogę ci dostać się do Seminarium Nauczycielskiego w Starym Sączu, bo wierzę, że je ukończysz i w księdze szkolnictwa polskiego zapiszesz się złotymi literami.”*

Wojtek we wróżby nie wierzył, ale rzeczywiście przy pomocy swego protektora, z dniem 1 września 1929 r. rozpoczął naukę w starosądeckiej „wylęgarni belfrów”.

Zaraz na początku roku zainteresował się ideologią Związku Harcerstwa Polskiego i wszedł w jego szeregi jako „młodzik”, w przyszłolnej drużynie im. Stanisława Witkiewicza. Harcerstwo zafascynowało go bez reszty treścią Przyrzeczenia. Dostrzegł w nim to wszystko, co w swoim, naiwnym jeszcze, ale szczerym i serdecznym widzeniu lepszego świata — uznał za ideał.

Harcerstwu pozostał wierny do końca życia. Jeśli nie w sensie przynależności organizacyjnej, to z całą pewnością w sensie ideologicznym: prawo harcerskie przyjął jako drogowskaz, któremu warto oddać czas, mózg i serce.



Wojciech Wiktor

Zdolny, pracowity i ambitny — z nauką problemów nie miał. „Jechał” na piątkach i jeszcze kolegom mógł pomóc. Starczyło także na pracę w harcerstwie. A miał jej sporo, o czym mówi zaświadczenie wydane przez komendę drużyny ZHP w Starym Sączu: *„był skarbnikiem drużyny, zastępowym, wodzem gromady zuchów, uczestnikiem sześciu obozów i kursów oraz pierwszym organizatorem ruchu zuchowego na terenie Starego Sącza i okolic.”*

Kogoś mogą dziwić te wodzowskie funkcje w najmłodszej gałęzi harcerstwa. Chcę więc wyjaśnić, że to było w zasadzie wodzostwo typu ojcowskiego. Tym maluchom trzeba było przede wszystkim serca. Aby je okazać i ująć dzieciaki w ramy Rodziny Zuchów — trzeba się było nad nimi pochylić z uśmiechem i położyć na czole ciepłą jak u matki dłoń.

A on to umiał. I dlatego w ciągu pięciu lat seminaryjnej nauki narodziła się w sercu Wiktora wielka sztuka dobroci i kochania. W zasobach tak dużych, że wystarczyły do końca życia.

W czerwcu 1934 r. Wiktor zdał ostatnie egzaminy, zyskując dyplom nauczyciela w szkolnictwie powszechnym. To było dużo, ale w przeliczeniu na przyszłość. Lata trzydzieste charakteryzowały się ostrym kryzysem, dotkliwie odczuwanym także w szkolnictwie. Łatano sytuację wysyłając świeżo upieczonych pedagogów na tereny kresów wschodnich: od huculskiego Czeremoszu — po łotewską Dźwinę.

Wojtek jechać nie mógł, gdyż ubóstwo rodziny zmuszało go do pracy na miejscu, aby dorywczymi zarobkami łątać dziury w domowym budżecie. I tak dobrze zapowiadający się siewca wiedzy — na razie harował na budowach, kopiąc rowy pod fundamenty, nosząc cegłę i zaprawę, jako pomocnik murarza.

Ale pozostawały wieczory, niedziele i święta. Trzeba było coś z wolnym czasem zrobić. I zaraz odezwała się w Wojtku nowa pasja: Towarzystwo Szkoły Ludowej.

Nic nowego. Już w pierwszym roku pobytu w starosądeckim Seminarium, tamtejsi wykładowcy, stanowiący aktyw miejscowego Koła TSL im. H. Sienkiewicza, głównie **Jan Wagner i Bolesław Bojarski** — zaszczepili w Wojtku ideę niesienia pomocy ludności wiejskiej na szerokich i leżących odłogiem obszarach oświaty i kultury.

Wojtek, zdolny matematyk, znający swoją wieś lepiej niż własną, ciągle dziurawą kieszeń, podliczył szybko i doszedł do przerażających wyników: w jego ukochanej Falkowej ponad 80% mieszkańców nie umie czytać ani pisać!

W gorącej wodzie kąpany, zwłaszcza jeśli o dobro i honor wsi chodzi, pogadał z grupką kolegów o podobnych poglądach i pewnej listopadowej niedzieli w 1929 r. w Falkowej powstało Koło TSL. Koło i powstała przy nim Czytelnia poprowadzili koledzy, bo Wojtka pochłonęła nauka i harcerstwo. Działalność w TSL wznowił dopiero po ukończeniu Seminarium. Niesłuchanie ofiarną pracą zwrócił na siebie uwagę

władz Związku Okręgowego Kół TSL w Nowym Sączu, którego prezes, mgr inż. **Walenty Cyło**, zatrudnił Wiktora w nowo zorganizowanej przez TSL szkole w Hucie Krempskiej, na styku powiatu jasielskiego z Czechosłowacją.

Praca w Hucie trwała od 2 XII 1936 r. do 31 VIII 1937 r. Była to w zasadzie praktyka. Ale właściwie trzeba ją uważać za ciężką próbę wytrzymałości Wiktora, jako nauczyciela i człowieka. Naukę o osiedlu zagubionym w lasach, na końcu cywilizowanego świata, wśród ludności złożonej z Łemków, Bojków, Słowaków, Ukraińców i garstki Polaków — trzeba było zacząć od siebie: jak się w tej gmatwaniu społecznej znaleźć, jak ją ująć i ośwoić, aby stosunki między szkołą, której tu nigdy nie było, a nauczycielem — układały się możliwie dobrze.

Ale Cyło, sam z ubogiej chłopskiej rodziny pochodzący, wiedział co robi. *„Ja pana, drogi kolego — powiedział do Wojtka — nie posyłam na lekki chleb. Ale znając pana wierzę, że tylko Wiktor, falkowski Syzyf, który na morgu ojcowskiej „gospodarki” poznał wszystkie biedy i troski chłopskiego losu — da sobie w skomplikowanym świecie Huty Krempskiej radę.”*

Sprawdził się, i w nagrodę, z dniem 1 IX 1937 r. został przeniesiony do szkoły w Olszynach, powiat Gorlice. Olszyny należały do gminy Rzepiennik Strzyżewski, ale ich układ terytorialny zdecydował o właściwych granicach wsi: sąsiadując od wschodu z powiatem jasielskim, a od północy i południa z ziemią tarnowską, tylko południową częścią tkwiły dokładnie w rejonie gorlickim.

Mała, stara szkoła w Olszynach nie mieściła wszystkich dzieci: część uczniów pobierała lekcje w wynajętych pomieszczeniach, głównie w dużej izbie, w domu, gdzie ongiś znajdowała się karczma. W tym właśnie domu zamieszkał Wiktor, tu uczył i stąd rozpoczął swoją, opłaconą wielką daniną krwi — wojnę z Hitlerem.

Przeskoczmy więc dwa szkolne lata i wejdźmy na Wiktorowski front. Dwa minione lata pozwoliły Wojtkowi zapoznać się z aktywnym Olszyn, głównie z grona pedagogicznego i stworzyć wokół siebie wybitnie przyjazną atmosferę: starsi otaczali młodego entuzjastę gorącym szacunkiem i zaufaniem, a dzieci go wręcz uwielbiały. Za serce, za przyjaźń, za uśmiech. W takich warunkach mógł liczyć na dyskrecję. A ta była mu potrzebna na co dzień w jego „wojnie” z polityką szkolną okupanta.

Zaczął już w październiku 1939 r. Od głośnego zarządzenia generalnego gubernatora **Hansa Franka**, likwidującego szkolnictwo średnie i wyższe, a z powszechnego usuwając takie przedmioty, jak język polski, historia i geografia. Wiktor zareagował natychmiast: porozumiał się z gronem koleżeńskim i jednomyślną umową szkolnictwo w Olszynach poprowadziło naukę po staremu, z tym, że podręczniki do zakazanych przedmiotów, zgodnie z nakazem władz, powędrowały do szkolnych skrytek i zjawiały się na pulpitych klasowych w godzinach konspiracyjnego nauczania. Najczę-

ściej w miejsce materiałów matematycznych.

Drugim frontem Wiktorowej „wojny” było stworzenie kilku zespołów tajnego nauczania na poziomie średnim. Ten dział zadań podjął Wiktor ponaglany zaistniałą sytuacją. Do Olszyn, w pierwszych dwóch latach wojny, przybyło kilkadziesiąt osób: wysiedleni z ziem przyłączonych do Rzeszy, uchodzący z ziem kresowych lub ci, którym udało się zbiec z NKWD-owskich osaczeń, unikając więzień i „podróży” na Sybir. Wśród tej zabiedzanej gromady znajdowała się spora grupa nauczycieli, także gimnazjalnych oraz młodzież.

Olszyny były wsią o silnym poczuciu patriotycznej solidarności, toteż problem „tajnego gimnazjum” zyskał poparcie społeczeństwa, co stwarzało tej sprawie bardzo przyjazny klimat i zapewniało konspiracyjną otoczkę.

W zespołach tajnego nauczania brało udział kilkanaście osób, przerabiając materiał w granicach od I do IV klasy gimnazjalnej. Do tzw. „małych matur” nie doszło, bo brakło Wojtka, który osaczony wiosną 1944 r. przez gestapo jasielskie — musiał uciekać z Olszyny i wylądował w tarnowskiej partyzantce. Ale do tego jeszcze wrócimy.

Latem 1940 r. Wiktor nawiązał kontakt z oficerem przybyłym z Budapesztu z misją stworzenia ogniw Tajnej Organizacji Wojskowej (TOW). Złożył przysięgę i przyjął obowiązek stworzenia komórki gromadzkiej, z funkcją jej komendanta. Cieszący się powszechnym zaufaniem — rychło zdobył zespół młodych zapaleńców i komórka zaczęła działalność.

W 1942 r. TOW weszła w skład AK i Wiktorowy twór stał się częścią dużej placówki o kryptonimie „Sabina”, z siedzibą komendy w sąsiedniej wiosce Szerzyny, należącej do powiatu jasielskiego. Stan taki był konsekwencją skłócenia wsi, przy czym ważną rolę zaczęli odgrywać komuniści, głównie Łemkowie, pracownicy kopalnictwa i przemysłu naftowego, którzy szukając sojuszników dotarli do ludowców w Olszynach, ustawiając ich negatywnie w stosunku do AK i prawicowych ogniw ruchu oporu.

Wiktor, należący do ludowców z kręgu Witosa, nie uznający w czasie wojny żadnych podziałów politycznych czy klasowych, zrażony zaistniałymi niesnaskami, skontaktował się z kolegami z sąsiedniej placówki AK w Ciężkowicach, tu lokując swoje sympatie i nadzieje na wolność Tej, co nie zginęła.

Obarczony licznymi obowiązkami, zamieszany w dziesiątki nielegalnych spraw — wpadł wreszcie Wojtek w oczy wrogiego wywiadu. A gdy osaczenie zaczęło się zagęszczać — musiał się Wiktor ukrywać u przyjaciół w Olszynach, a od sierpnia 1944 r. „zamieszkał w leśnych koszarach” jako żołnierz kompanii „Regina II” w I baonie 16. pp AK „Dzieci Tarnowskich”. Na stanowisku strzelca z cenzusem, pod pseudonimem „Skała”.

W „Reginie II” uczestniczył Wiktor w kilkunastu akcjach zbrojnych i dywersyjnych. Tu się zaczęła jego bojowa epopeja i tu się mogła skończyć. Za czysty cud uważał wyjście z życiem z sytuacji, w której stracił 18 kolegów, a 10 rannych dostało się do niewoli; wysłani do Gross-Rosen, zginęli prawie wszyscy.

Było już po północy 17 X 1944 r., gdy oddział „Regina II” dotarł na nocleg w stodole u **Józefa Gomułki**, w lesistym przysiółku wsi Rzepiennik Strzyżewski, noszącym nazwę Dąbry. Żołnierze zmęczeni długim marszem, po wystawieniu ubezpieczenia, zapadli w kamienny sen.

W międzyczasie, gospodarz meliny udał się na posterunek żandarmerii w Ciężkowicach i złożył odpowiedni meldunek. Reakcja była natychmiastowa: w ciągu kilku godzin zmobilizował wróg wszystkie okoliczne posterunki i już świtem partyzancką melinę otoczyły duże siły doskonale uzbrojonych oddziałów wojska, żandarmerii i policji.

Ledwo świt odłonił wyraźniej obleżoną zagrodę — rozpoczął wróg atak, bijąc w stodolę zmasowanym ogniem broni ręcznej i maszynowej. Żołnierze, porażeni gwałtownym napadem, pozbierali się z trudem i rozpoczęli obronę, próbując seriami poprzez szczeliny między belkami, odeprzeć atak. W tym momencie jednak stodoła, trafiona pociskami zapalającymi, zaczęła płonąć. Pozostało jedno wyjście: uciekać!

Pierwszy wyskoczył Wiktor i posłał w kierunku, skąd dochodziły strzały, serię ze stena. W tym momencie dostał w twarz odłamkiem granatu, tracąc część szczęki. Krwawiąc, przybiegł jeszcze kilka kroków, ale trafiony w plecy upadł i zaczął się czołgać bruzdą w kierunku pobliskiego lasu. Ostatkiem sił zdołał zerwać z siebie koszulę, z której sporządził prowizoryczny bandaż, podtrzymujący strzaskaną szczękę.

Godzinę po odjeździe Niemców, nieprzytomnego Wojtka znaleźli mieszkańcy osiedla i w przebraniu kobiecym przewieźli go do szpitala w Gorlicach. Ulokowany przez zakonspirowanych lekarzy na oddziale zakaźnym, otoczony serdeczną opieką partyzanckich eskulapów: **Jezierskiego, Rybickiego i Stieberga** — wrócił do zdrowia. Szczękę jakoś tam „odrestaurowano”, ale ślad w postaci deformacji twarzy pozostał do końca życia.

*

Cztery miesiące leżenia w szpitalu były dla Wiktora trudną szkołą cierpienia i cierpliwości znoszenia bezczynności. Milczał, bo mówić nie mógł, i myślał. Ulgą w takim stanie były cotygodniowe odwiedziny jego uczennicy z tajnego gimnazjum, córki gospodyni domu, w którym mieściła się jedna z klas jego szkoły, przemilęj **Basi**, zakochanej w swym profesorze cichuteńko i dyskretnie, ale na zabój.

I oto w szpitalnym myśleniu Wojtka zaczęło się kształtować coś, czego dotąd



w swym „celibackim” charakterze nie brał pod uwagę: miłość i małżeństwo. A jeśli małżeństwo — to z kimże, jak nie z Basią? Urocza, cicha, zawsze zadbana i nie narzucająca się, a przy tym pracowita i gospodarna. W sumie, jeżeli o dobrą żonę chodzi — same „piątki” z plusem! A jak będzie w życiu? Ano zobaczymy.

Ale żeby zobaczyć, musimy się przenieść na całe 50 lat na Ziemie Odzyskane, w rejon Śląska Opolskiego, gdzie młodzi zaplanowali stworzyć rodzinne i zawodowe Eldorado.

Właściwie pierwszy wyruszył na Ziemie Odzyskane Wojtek. Już w marcu 1945 r. wszedł w szeregi Polskiego Stronnictwa Ludowego i jako zagorzały entuzjasta mikołajczykowskiej ideologii — wybrał się na stratomane wojną tereny budować Polskę.

Dotarł do Jeleniej Góry, gdzie w Kuratorium otrzymał pracę kierownika szkoły w Karpaczu. Należało czekać do 1 września. Wrócił więc do Olszyn, zatrzymując się po drodze w Katowicach. Tu u znajomych, zapoznał się z głośnym działaczem oświatowym, propagatorem narodzonej w Danii ideologii Uniwersytetów Ludowych, **Henrykiem Hahnem**.

Wojtek ideę Uniwersytetów Ludowych znał dokładnie z pracy w sądeckim TSL, w okresie poseminaryjnego bezrobocia, toteż z radością przyjął propozycję Hanha — pracy w tworzoną właśnie Uniwersytecie Ludowym w Większycach koło Koźła.

Z angażem w kieszeni wrócił do Olszyny. Też po „angaż”: 21 sierpnia 1946 r. w kościele w Olszynie powiedzieli sobie z Basią sakramentalne „tak”, i od tego dnia będziemy traktować losy Wiktorów jako małżeństwa, stosując zasadę: każdemu według jego zasług i losowych perypetii.

*

Zachowując dobre obyczaje, zaczniemy od Barbary. Córka oficera 39. jarosławskiego pułku piechoty, w jarosławskim Gimnazjum ss. Niepolanek ukończyła I klasę. Po wrześniowym dramacie ojciec dostał się z wojskiem na Węgry, a Basia z matką i młodszym o 6 lat bratem — wrócili do Olszyn, na swoje: odziedziczoną po babci pięciomorgową gospodarkę.

Dla młodziutkiej dziewczyny, o miękkich rączkach i dla połowę młodszego braciśzka — zaczął się koszmar harówki ponad siły i wypracowany chleb był często słony od łez. Ale pomału rączki stwardniały i w krzyżach przestało trzeszczeć, no i w końcu jakoś się żyło. I chleb miało się na co dzień. Swój!

A potem zaczęło być lżej. W 1942 r. ojciec wrócił z Węgier i kryjąc swój oficerski stopień, został w domu. Cięższe roboty gospodarcze przeszły w jego ręce. Było lżej także dlatego, że w sercu młodej dziewczyny obudziło się nieznane dotąd uczucie, a oczy coraz częściej i serdecznie biegały za „panem profesorem”. Resztę znamy w maju 1946 r. — mała matura, zdana w Tuchowie, w sierpniu tegoż roku — ślub

w Olszynie i wspólny wyjazd na Ziemię Odzyskaną.

Matura i ślub — to był dla obojga pierwszy etap na wspólnej drodze, ku wspólnym celom realizowanym w myśl zasady: miłość małżeńska, miłość rodzinna i w maksymalnych wymiarach pojęta, najtrudniejsza z wielu noszonych przez miłość imion — służba bliźniemu.

Pedagogiczne zamiłowania Barbary ujawniły się już w Olszynie, pod okiem Wojtka, który „zatrudnił” ją w ramach tajnego nauczania dla prowadzenia zajęć z młodzieżą, mającą już za sobą ukończone VII klasy i pragnącą sięgnąć do programu szkoły średniej. Nic też dziwnego, że zaraz po osiedleniu się w Większych, od października 1946 r. dojeżdżała przez 3 lata do Głogówka, gdzie w Liceum Pedagogicznym zdała maturę.

Jesienią 1949 r. widzimy Barbarę w Studium Nauczycielskim w Raciborzu, gdzie ukończyła wydział muzyki i śpiewu. Ukończyła też w 1954 r. roczny kurs żywienia, potrzebny do pracy w Uniwersytecie Ludowym na stanowisku instruktora wyżywieniowego.

Ten rodzaj przeszkolenia pozwolił jej na prowadzenie po wsiach Opolszczyzny stu godzinnych kursów racjonalnego żywienia. Prowadziła je zimą, w ciągu ośmiu lat.

W latach 1955–1958 przebywała z mężem w Zespole Techników Rolniczych w Nysie, prowadząc zajęcia świetlicowe. Gdy w 1958 r. Uniwersytet Ludowy został reaktywowany — stary znajomy i onegdajski dyrektor UL, H. Hahn, ściągnął Wiktorów ponownie do tej placówki, gdzie pracowali do emerytury.

Ciągłe łaknąca wiedzy zdołała w międzyczasie ukończyć 4 semestry pedagogiki specjalnej w WSP w Opolu. Ma zaliczone studia wyższe, ale bez tytułu. Nie mogła już bowiem i nie chciała bronić pracy; w ogromie zadań zawodowych, społecznych i rodzinnych — brakło czasu i sił.

Właśnie rodzinnych. Bo Barbara w ciągu lat 1948–1958 pomnożyła rodzinę Wiktorów o pięcioro. A więc znowu „piątka”. I jeśli coś może w tej sytuacji zdumiewać, to pytanie: Jak Ona sobie dała z tym wszystkim radę?



Barbara Wiktor

*

A Wojtek? Zostawiliśmy go na Uniwersytecie Ludowym w Więszycach, gdzie uruchomiwszy wszystkie pasje, powiększał w sercach i umysłach młodzieży wymarzony kształt Polski. Młodzież ta bowiem, w dużym procencie niemieckiego pochodzenia, wychowana w klimacie dalekim od przyjaźni do Polski — szukała w nauczycielu nie suchego, sztywnego wykonawcę urzędowego programu, ale Człowieka zdolnego promieniować Dobrą Mądrością i Mądrą Dobrocią. Akurat w stylu Wiktora: kierując interesem — potrafił pracować non stop od 6³⁰ do 23³⁰.

Ale nim Wiktor zdołał osiągnąć szerszy zasób zamierzonych celów — w 1953 r. działalność Uniwersytetu została zawieszona i Wojtek przeszedł na stanowisko kierownika Państwowego Prewentorium dla Dzieci w Jędrzejowie koło Grodkowa.

Prewentorium istniało częściowo w planach. Całą resztę zorganizował Wiktor. Ale przy okazji odkrył kryminalne wręcz manipulacje kierownictwa. Stary harcerz, bezkompromisowy wróg wszelkiego łajdactwa i kłamstwa — nie wytrzymał, i choć był przekonany, że zatarg z „partyjną babą” skończy się jego klęską — ujawnił aferę i nie czekając zemsty, przeniósł się do Nysy, obejmując w Internacie Państwowych Techników Rolniczych stanowisko wychowawcy.

To był dopiero ciężki kawałek chleba. Młodzież miejscowa, zza Buga i Sanu oraz napływowa, głównie z południowych rejonów kraju, mieszanina gwar, akcentów, obyczajów i stopni świadomości — wymagała specjalnej troski i specjalnych, zindywidualizowanych metod pracy. I znów Wojtek musiał sięgnąć do najgłębszych zasobów serca, aby podołać ogromowi wychowawczego trudu. W końcu jednak stworzył jakąś namiastkę nieźle zgranej internackiej rodziny.

Ale gdy w 1958 r. dawny dyrektor większyckiego UL-u, H. Hahn zdołał uzyskać zgodę władz na uruchomienie placówki, na jego wezwanie Wiktor „urwał się” z Nysy i od 1 września widzimy go na dawnej funkcji, w ulubionej czytelnii, gdzie dwoił się i troił, aby kształcić na potrzeby wsi kadry liderów i przewodników.

Powiedziałem, że dwoił się i troił. Tu jednak trzeba użyć innego określenia: On się po prostu mnożył. Do potęgi. Fanatyk na tle przebudowy wsi — nie znał granic ani wysiłku, ani trudu w dążeniu do wytkniętego celu. Nawet za cenę własnych aspiracji kształceniowych. Rozpoczął przecież studia polonistyczne na Uniwersytecie Wrocławskim, ale nic z tego nie wyszło: w programie zajęć UL-u, które trwały od świtu do późnej nocy, nie znalazł czasu na dojazdy i naukę.

Tym bardziej, że poza szkołą — angażował się bardzo żywo w problematykę społeczną. Przez wiele lat pełnił funkcję prezesa, a później sekretarza w miejscowym zarządzie Koła Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego; działał w związkach kombatanckich, w spółdzielczości, w Ochronie Przyrody i w Towarzystwie Wiedzy

Powszechniej, pełniąc wszędzie rolę inicjatora i przywódcy.

Wszędzie też był szanowany, ceniony i lubiany. Za 50 lat pracy — nigdy nie wycofał się z pełnionych obowiązków. Tylko jeden raz porzucił z pełną świadomością zajmowane stanowisko: ławnika w Sądzie Powiatowym. Bo, jak się tłumaczył, do tego rodzaju zadań *„miał za miękkie serce”*.

„Miękkie serce” Wiktora znalazło maksymalny wyraz w życiu rodzinnym. Cała piątka dalszego ciągu rodu Wiktorów uwielbiała ojca, uważając go za ideał i autorytet. Nie tylko za dobroć i gorące uczucie przyjaźni, ale także za mądre rygory i serdeczne rady, dzięki którym uroczą i zdolną piątką zdobywała Piątka z Człowieczeństwa.

Gdy w latach osiemdziesiątych „objawiła się Solidarność” — Wiktor z miejsca wszedł w jej szeregi jako organizator i koordynator powstających w terenie ogniw. I wtedy, w domu przy ul. Kozielskiej 15 zawrzało. Ultrapatriotyczny klimat rodzinny i ogromny autorytet ojca — zrobili swoje: w nurt szumiący wizją wolności rzucili się całą gromadą młodzi, narażając się na represje i obóz. To zaś pociągnęło za sobą ... wyjazdy za „Wielką Wodę”, co im zresztą, jak to zobaczymy za chwilę, specjalnej szkody nie przyniosło.

Ojcu też nie. Od 1973 r. budynki UL-u zostały poddane generalnej przebudowie, przy czym Wiktor poszedł na emeryturę. Mimo aktywnej pracy w Solidarności, władze uznały, że ten typ działacza, znanego z wielkiej kultury i sumienności, będzie w burzliwej atmosferze solidarnościowych poczyną — czynnikiem neutralizującym nie zawsze przemyślane zrywy. Pomylili się tylko o tyle, że ten typ autorytetu ma zawsze tendencję do budzenia i rozruchu, a nigdy do usypiania, cofania się czy zastoju.

Stąd fakt, że Wojewódzki Komitet Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Opolu, pismem z dnia 9 X 1986 r., Wiktorowi, jako twardemu ludowcowi, powierzył płatne wg ryczału stanowisko instruktora w Gminnym Komitecie ZSL Reńska Wieś.

To był angaż ostatni. Miał już 73 lata. Nadwerężone ogromnym wysiłkiem zdrowie zaczęło słabnąć, co z kolei zaktywizowało partyzanckie rany. Powiększyła się deformacja twarzy, zaczęły rosnać trudności z przyjmowaniem pokarmów, zniekształciła się mowa, co w zawodzie pedagoga i społecznika było ogromną tragedią.

Nadchodził zmierzch. Trudny i bolesny. Ale Wiktor, zahartowany w dobrym i złym — przyjmował wszystko z pogodą i spokojem. Bez cienia pychy — znał swoją wartość: szedł przez życie czyniąc dobrze. I teraz mógł powtórzyć za św. Pawłem Apostołem: *„W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiarę ustrzegłem ...”* „Bieg ukończył” w kędzierzyńskim szpitalu, 9 grudnia 1996 r., o godzinie 10⁴⁵. Kilka miesięcy po uroczystościach z okazji 50-lecia pożycia małżeńskiego.

Pogrzeb powszechnie lubianego Wiktora zgromadził setki ludzi. Były sztandary,

dostojne przemówienia i płacz. Wielki płacz, jak wielką była miłość, główny oręż Wojtka w pięćdziesiąt lat trwającej wojnie o zwycięstwo Dobra nad Złem i Blasku nad Mrokiem.

I jeszcze. Na koniec, kilka zdań o rodzinnym dorobku Wojciecha i Barbary Wiktorów. O piątce Wspaniałych, którzy z rodzicielskich genów wybrali wszystko, co najlepsze. Oto oni.

Jacek — rocznik 1948. Jest inżynierem urządzeń ciśnieniowych. Mieszka z żoną i dwójkiem dzieci w Kędzierzynie.

Jerzy — rocznik 1949. Z zawodu magister wychowania fizycznego. Mieszka z żoną w USA. Ma dwoje dzieci: syna i córkę, która kończy studia medyczne, ze specjalizacją rehabilitacji.

Anna — rocznik 1951. Mężatka, obydwie po studiach biochemicznych. Mieszkają i pracują w S. Vilas, S. Superior, Colorado (USA). Mają syna i córkę. Syn studiuje fizykę i chemię. Bardzo zdolny: od II roku jest asystentem na uczelni. W wieku 20 lat.

Włodzimierz — rocznik 1953. Również bardzo zdolny. Uwięziony w 1982 r. za działalność w czołówce solidarnościowej — po okresie „pokuty” wyjechał do USA, gdzie od 1983 r. mieszka i pracuje. Ukończył Wyższą Szkołę Inżynierską, jest zatrudniony w dziale układów scalonych. Syn, także wybitny fachowiec, pracuje razem z rodzicami i ma już na koncie kilka wysoko ocenionych pomysłów racjonalizatorskich. Poza tym prowadzi przedstawicielstwo firmy, z czym wiążą się częste wyjazdy do kooperantów w Singapurze, w Japonii i w innych krajach Dalekiego Wschodu.

Karierę „technicznego dyplomaty” ułatwia mu doskonała znajomość języków obcych, bardzo sympatyczna aparycja, elegancja i kultura bycia. Z córek, jedna kończy studia medyczne, a druga wybrała całkiem nowoczesny kierunek, zwany inżynierią medyczną.

Mieszkają w Way Raleigh, Północna Kalifornia.

Marek — rocznik 1958. Tego zauroczyły wieści dochodzące zza oceanu. Odmówił podjęcia studiów w PRL i tylko czekał na okazję, aby doszłusować do rodzeństwa i w nowym świecie zacząć nowe życie. Z wiarą, że braciszkanie pomogą.

Okazja trafiła się późno: w 1986 r., w ramach orbisowskiej wycieczki, dotarł do Austrii, tu urwał się z wycieczkowej listy i zwał do Grecji, a po jakimś czasie wylądował w USA.

Po wielu przygodach ukończył pierwszy etap swych pragnień, a kolejny zaczął we dwójkę z żoną, dziewczyną z Białegostoku. Obydwie pracują i studiują. A pierwszym efektem małżeńskiego dorobku jest córeczka. Mieszkają w Mountain Lake, Dv. Raleigh, Północna Karolina.

*

Do tego chwalebnego „Epitafium” trzeba jeszcze dodać opinie, które można usłyszeć w Więszycach, Koźlu i Kędzierzynie: *„Są to wspaniałe dzieci, jakich zazdrości Wiktorom niejedna rodzina. Dzieci bardzo zdolne i bogate w wielkie zasoby intelektu, duchowego ładu i kultury osobistej.”*

Ich wartości nie notuje się na kontach bankowych, ale w codziennym trudzie, uniwersyteckich dyplomach, a przede wszystkim w serdecznych układach rodzinnych i społecznych oraz w sumie osiągnięć zawodowych.

Wszystko więc wskazuje na to, że za ileś tam lat — ulica Falkowska zmieni nazwę na ulicę ... Rodziny Wiktorów!

90 LAT ODDZIAŁU „BESKID” POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO W NOWYM SĄCZU

Część III. Lata 1990–1997

Pierwsze bezskuteczne koncepcje reaktywowania Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego rozwiązane w grudniu 1950 r. pod naciskiem komunistycznych władz, miały miejsce po przełomie październikowym w 1956 i 1957 r. Część działaczy turystycznych ośmieliła się wówczas powiedzieć, że większość bliskich im ideałów PTT została w PRL zniszczona. Nastąpiło pełne upolitycznienie turystyki i zupełna zmiana jej charakteru, co doprowadziło do karykaturalnych wynaturzeń. „Odwilż” jednak skończyła się po kilku miesiącach. Trzeba było czekać aż ćwierć wieku, by powstały nowe warunki, stworzone przez wielki solidarnościowy zryw społeczeństwa w sierpniu 1980 r. Najpierw były nieudane próby działaczy PTTK z września i grudnia 1980 r. oraz maja 1981 r. przekształcenia Komisji Turystyki Górskiej PTTK w Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, lecz nie dopuściły do tego zachowawcze, tkwiące jeszcze w starym systemie władze.

Nasilało się jednak zapotrzebowanie społeczne na reaktywowanie PTT, powstałe z chęci usunięcia polityki z turystyki, z potrzeby powrotu do samorządnych form działania na rzecz gór i górskiej turystyki. Było ono już tak silne, że udało się w końcu je zrealizować. Największe zasługi położył tu **Stefan Maciejewski**, dziennikarz „Gazety Krakowskiej”. Skupił on dużą grupę ludzi — entuzjastów odrodzenia Towarzystwa, miłośników tradycji i w dobrym znaczeniu tego słowa elitarnej, a nie na siłę umasowanej turystyki górskiej. W marcu 1981 r. powstała grupa inicjatywna, która opracowała „*Postanie w sprawie reaktywowania PTT*” i przygotowała pierwszą wersję

statutu. Ostatecznie Towarzystwo zostało reaktywowane 10 października 1981 r. podczas Krajowego Sejmiku OKR PTT, który odbył się w Krakowie. Wniosek o rejestrację PTT złożony został tydzień później, jednak wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. zawieszającego prawo do zrzeszenia się, spowodowało, że kilkanaście ośrodków PTT w całym kraju działało nielegalnie, narażając się na poważne konsekwencje (dekret o stanie wojennym przewidywał w takim wypadku tryb doraźny i karę pozbawienia wolności nie mniejszą niż na 3 lata). Część ośrodków obchodziła przepisy dekretu, występując pod szyldami różnych legalnych instytucji i organizacji jak m. in. domy kultury, kluby turystyczne, Towarzystwo Ochrony Tatr itd. Kilkakrotne próby zalegalizowania działalności podejmowano kolejno w różnych miastach, kończyły się odmową. Dopiero atmosfera zbliżających się obrad „okrągłego stołu” i poczucie władzy, że społeczeństwu wreszcie należy ustąpić, zmiękczyło jej stanowisko i Towarzystwo zostało zarejestrowane 9 grudnia 1988 r. w Katowicach.

Przygotowania do reaktywowania Oddziału „Beskid” Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Nowym Sączu, zostały podjęte z inicjatywy **Macieja Zaremby** jesienią 1981 r. Przerwało je wprowadzenie stanu wojennego i dopiero zarejestrowanie Towarzystwa w katowickim sądzie otworzyło drogę do ich ponowienia. We wrześniu 1989 r. nawiązano kontakt z Zarządem Głównym PTT w Krakowie, a zebranie założycielskie odbyło się w dniu 31 marca 1990 r. w sali konferencyjnej hotelu „Panorama”. Uczestniczył w nim Prezes Zarządu Głównego PTT **Maciej Mischke**. Członkami-założycielami było 31 osób w większości przewodników. Jednogłośnie dokonano reaktywowania Oddziału, przyjęto program działania i wybrano władze w następującym składzie:

Prezes	Maciej Zaremba
Wiceprezesa	Stanisław Leśnik
	Lech Traciłowski
Sekretarz	Tadeusz Ogórek
Skarbnik	Wacław Kowalewski
Członkowie	Wiesław Kossakowski
	Karol Krokowski
	Antoni Piotrowski

Decyzję o powołaniu Oddziału, Zarząd Główny PTT wydał 6 czerwca, a 22 czerwca Urząd Wojewódzki w Nowym Sączu dokonał wpisu Oddziału do ewidencji.

Rozpoczęto intensywną i szeroko rozwiniętą działalność, opartą wyłącznie o pracę społeczną. Zaowocowało to coraz większą ilością osób zapisujących się do Towarzystwa. Do końca maja 1997 r. do Oddziału wystąpiło łącznie 321 osób. Biorąc jednak pod uwagę opłacane składki, liczba członków w poszczególnych latach przed-

stawiała się następująco:

1990 r.	110 członków
1991 r.	141 członków
1992 r.	164 członków
1993 r.	165 członków
1994 r.	163 członków
1995 r.	201 członków (w tym 21 w Kole w Krynicy)
1996 r.	213 członków (w tym 22 w Kole w Krynicy)

Do oddziału wstąpiło 7 członków — seniorów, należących do PTT przed rozwiązaniem Towarzystwa w 1950 r.

W kolejnych kadencjach skład Zarządu ulegał większym lub mniejszym zmianom. Radykalnie odnowiony został w trakcie wyborów w dniu 26 września 1992 r.

Prezes	Maciej Zaremba
Wiceprezes	Anna Totoń
Sekretarz	Małgorzata Kieres
Skarbnik	Robert Mikusiński
Członkowie	Jolanta Mikusińska
	Leszek Małota
	Tadeusz Pogwizd
	Wojciech Swigut

Aktualny skład Zarządu wybranego 23 września 1995 r. przedstawia się następująco:

Prezes	Maciej Zaremba
Wiceprezesa	Wojciech Lippa
	Witold Mikusiński
Sekretarz	Małgorzata Kieres
Skarbnik	Anna Totoń (do 19 lutego 1997 r.)
	Grażyna Świerczek (od 19 lutego 1997 r.)
Członkowie	Władysław Kowalczyk
	Leszek Małota
	Jolanta Mikusińska
	Robert Mikusiński
	Tadeusz Pogwizd
	Wojciech Swigut

Podstawową działalnością Oddziału jest organizacja cotygodniowych, odbywających się przez cały rok, ogólnodostępnych wycieczek górskich. Dzięki temu Oddział realizuje podstawowe zadania wynikające ze statutu PTT. Wycieczki te stały się



Na Orlej Perci

głównym motywem przyciągającym do PTT ludzi interesujących się górami, a przede wszystkim młodzież, na której Oddziałowi najbardziej zależy. Działalność ta decyduje o stałym wzroście ilości członków oraz przyczynia się do ich integracji. Wycieczki organizowane są zarówno w góry tak atrakcyjne jak Tatry, Pieniny czy Bieszczady, jak i w mniej popularne i znane pasma górskie, czyli np. Beskid Niski, Beskid Mały czy Pogórze. Ma to służyć zarówno lepszemu poznaniu mniej uczęszczanych gór, jak i zachęceniu do ich odwiedzania w przyszłości. Organizacja wycieczek polega na zapewnieniu środków transportu dowożących turystów w pobliże gór oraz fachowej obsługi przewodnickiej. W okresie mniej atrakcyjnym, gdy ilość uczestników jest mniejsza, wycieczki organizowane są przeważnie publicznymi środkami lokomocji (PKP, PKS, MPK), natomiast w pozostałych okresach dojazd do gór odbywa się autokarami turystycznymi. Wycieczki prowadzone są społecznie przez przewodników. Jeżeli imprezę organizuje się w kilku wariantach trasowych lub wymaga tego trudność trasy, Oddział zapewnia dwóch, trzech lub nawet czterech przewodników. Dla uatrakcyjnienia wycieczek odbywają się w ich trakcie ogniska z pieczeniem kiełbasy, z wyjątkiem wycieczek, których trasy przebiegają przez parki narodowe. Większość imprez to wycieczki jednodniowe, gdyż takie cieszą się wśród uczestników największym powodzeniem. Dzięki pomocy finansowej Urzędu Miejskiego, Urzędu Wojewódzkiego i Funduszu PHARE wycieczki są tanie. Ma to szczególnie duże znaczenie dla młodzieży, emerytów czy kilkuosobowych rodzin. W imprezach uczestniczą bezpłat-



***W Beskidzie
Małym***

nie wychowankowie Domu Dziecka w Nowym Sączu. Afisze informujące o wycieczkach rozwieszane są w kilkunastu punktach miasta — na własnych tablicach i w gablotach. Rozwieszane są również w sądeckich szkołach średnich. Regularnie informuje o imprezach Oddziału lokalna prasa i przekazuje je radio „Echo”.

Pierwsza wycieczka odbyła się 24 czerwca 1990 r. i obejmowała przejście południowej grani Doliny Chochołowskiej w Tatrach. Nawiązaniem do tradycji było natomiast przejście w dniu 30 czerwca 1990 r. trasy z Piwnicznej przez Niemców, Rogacz, Radziejową i Halę Konieczną do Rytra. Było to powtórzenie pierwszej wycieczki zorganizowanej przez nowosądecki „Beskid” w dniu 1 lipca 1906 r. Impreza ta stała się już tradycją w Oddziale i odbywa się ona corocznie w ostatnią niedzielę czerwca. Imprez powtarzanych corocznie jest jeszcze kilka m. in. z okazji Dnia Dziecka, impreza sylwestrowa w górach czy kulig. W kolejnych latach ilość zorganizowanych

wycieczek systematycznie wzrastała:

1990 r.	12 wycieczek	336 uczestników
1991 r.	26 wycieczek	751 uczestników
1992 r.	28 wycieczek	883 uczestników
1993 r.	30 wycieczek	908 uczestników
1994 r.	35 wycieczek	1.179 uczestników
1995 r.	46 wycieczek	1.654 uczestników
1996 r.	54 wycieczki	1.679 uczestników
1997 r.	24 wycieczki	670 uczestników (do 31 maja)

Najwięcej wycieczek w ciągu 7 lat zorganizowano w Beskid Sądecki — 49, Tatry — 41, Beskid Wyspowy — 18, Beskid Niski — 14, Gorce — 13, Beskid Żywiecki — 12, Pieniny — 10, Pogórze — 7, Bieszczady i Beskid Śląski — po 5, Podtatrze — 4, Beskid Mały — 2 i Łysogóry — 1. Ponadto w słowackie Tatry odbyło się 46 wycieczek, a w inne słowackie góry — 23. Organizowano też dalsze wyprawy: w 1992 r. Karpaty Wschodnie (Ukraina), w 1994 r. powtórnie Karpaty Wschodnie oraz góry Afryki (Małgorzata Kieres, Elżbieta Luchowska-Gorczyca i Maciej Zaremba zdobyli m. in. Kilimandżaro), w 1996 r. Kaukaz. Ponadto członkowie Oddziału uczestniczyli w grupach kilku lub kilkunastoosobowych wyprawach innych organizatorów (Dolomity, Pireneje, Karpaty Wschodnie, góry greckie, Alpy austriackie, francuskie i włoskie).

Wycieczki prowadziło łącznie 37 przewodników. Najbardziej aktywni: Maciej Zaremba — 69 razy, Władysław Kowalczyk — 64 razy, Leszek Małota — 49 razy, **Rudolf Gawlik**, Antoni Piotrowski i Tadeusz Pogwizd — po 16 razy, **Wiesław Piprek** — 11 razy, Lech Traciłowski — 10 razy, **Jerzy Baranowski** i Wojciech Lipka — po 7 razy, **Eugeniusz Mrówka** i Anna Totoń — po 6 razy, **Stanisław Smaga** — 5 razy.

Z inicjatywy Tadeusza Pogwizda w 1990 r. powstała Sekcja Narciarska, propagująca wędrówki narciarskie jako alternatywę dla narciarstwa zjazdowego, a właściwie „wyciągowego”. Organizuje ona zarówno krótsze spacery obrzeżami miasta, jak i dłuższe górskie wędrówki, głównie w Beskidzie Sądeckim.

Z inicjatywy nowosądeckiego Oddziału zgłoszonej w 1991 r., Zarząd Główny PTT podjął w 1994 r. decyzję o restytucji Górskiej Odznaki Turystycznej PTT, utworzonej w tym Towarzystwie w 1935 r. Regulamin oparto na projekcie opracowanym w styczniu 1994 r. przez Macieja Zarembę. Oddział załatwił też wykonanie odznak GOT oraz odznak przewodników GOT. Zarząd główny PTT nadał uprawnienia przewodników GOT 84 członkom Oddziału. Od wiosny 1994 r. rozpoczęto akcję popularyzacji odznaki, głównie wśród młodzieży, gdyż z myślą przede wszystkim o niej została utworzona. Ma ona zachęcić młodzież do jak najczęstszego przebywania w górach



Na Malinowskiej Skale

i coraz dokładniejszego ich poznania. Do końca maja 1997 r. oddziałowa Komisja GOT PTT przyznała 41 odznak różnych stopni.

Oddział prowadzi też prace znakarskie w górach. W październiku 1991 r. oznakowano jaskinię znajdującą się na stoku Jaworza w Paśmie Łososińskim oraz dojście ze szlaku do niej. W lipcu 1992 r. z okazji 700-lecia śmierci bł. Kingi, w porozumieniu ze starosądeckim klasztorem oznakowano szlak biegnący ze Starego Sącza przez Przehybę do Krościenka. Na 10 „rogalach” umieszczono płaskorzeźby z wizerunkiem bł. Kingi i odpowiednim napisem, wyrzeźbione artystycznie przez **Bogusława Repelewicza**. Obydwa te oznakowania zostały jednak zniszczone przez wandalów. Ponadto we wrześniu 1995 r. dokonano oznakowania tabliczkami dojścia do jeziora Morskie Oko ze szlaku z Maślanej Góry w Beskidzie Niskim.

Począwszy do maja 1990 r. Oddział wydaje kwartalnik „*Beskid*” redagowany przez Macieja Zarembę. Do chwili obecnej ukazało się 28 numerów tego ilustrowanego pisma, liczącego od 16 do 24 stron. Nakład pierwszego numeru wynosił 100 egzemplarzy i stale rósł. Od roku wychodzi w nakładzie 500 egzemplarzy. Pismo rozprowadzane jest bezpłatnie wśród członków PTT i wszystkich zainteresowanych podczas wycieczek, oraz za pośrednictwem punktów informacyjnych PTT. Przekazywane jest też do najważniejszych bibliotek w kraju. Kwartalnik zajmuje się szeroko pojętą tematyką górską, turystyką górską i ekologią, ale przede wszystkim wyczer-

pująco informuje o działalności PTT i Oddziału w Nowym Sączu. Posiada kilkanaście stałych rubryk.

W 1991 r. Zarząd Oddziału podjął decyzję o utworzeniu biblioteki górskiej. Powstała ona z darowizn oraz zakupów nowości i antykwarycznych. Obejmuje szeroko rozumianą tematykę związaną z górami i zawiera przewodniki, monografie, albumy, reportaże, wspomnienia, czasopisma, mapy itd. Obecnie liczy 1010 pozycji.

Z innych prowadzonych przez Oddział działań należy wymienić m. in.:

Członkowie PTT mający uprawnienia przewodnickie, społecznie prowadzą wycieczki szkolne w góry,

Oddział współpracuje ze schroniskiem PTT „Chyz u Bacy” na Młodej Horze w Beskidzie Żywieckim. Z jego inicjatywy PTT ufundowało dla schroniska radio CB, a w 1995 r. Oddział ufundował oszkloną gablotę do ekspozycji rozprowadzanych przez schronisko wydawnictw,

Oddział załatwił wykonanie dla całego Towarzystwa odznak organizacyjnych, legitymacji organizacyjnych, odznak GOT, odznak przewodników GOT i odznak jubileuszowych z okazji 120-lecia PTT,

Oddział posiada trzy punkty informacyjne, w których rozprowadzane są zarówno wydawnictwa PTT, jak i inne związane z turystyką wydawnictwa, niedostępne lub trudno dostępne w powszechnej dystrybucji. Materiały PTT rozprowadzane są także przez inne instytucje jak np. Centrum Informacji Turystycznej czy Wojewódzki Ośrodek Kultury,

Tradycją są coroczne, uroczyste spotkania opłatkowe organizowane przez Oddział, połączone zawsze z projekcjami przeżrocz z imprez PTT,

Zorganizowano uroczyste obchody jubileuszowe z okazji 85-lecia Oddziału w 1991 r. oraz z okazji 95-lecia w 1996 r. W jednym i drugim wypadku wykonano odznaki jubileuszowe zaprojektowane przez **Józefa Pogwizda**,

Ponad 90 członków Oddziału posiada opatentowane swetry organizacyjne (czerwone z biało-zielonym paskiem na rękawie),

Oddział współpracuje z lokalną prasą. W ciągu 7 lat ukazało się w niej 270 artykułów i notatek na temat działalności Oddziału. Artykuły i informacje o Oddziale ukazywały się też w innych wydawnictwach, m. in. w „*Roczniku Sądeckim*”, *Dziejach Miasta Nowego Sącza*, *Dziejach Kultury Fizycznej i turystyki w Nowym Sączu* itd.,

Od reaktywowania Oddziału, prowadzona jest przez Annę Totoń jego kronika. Liczy ona obecnie 8 bogato ilustrowanych tomów.

Nowosądeczanie biorą aktywny udział w pracach Zarządu Głównego PTT. Maciej Zaremba jest od 1991 r. członkiem Prezydium ZG, a od 1995 r. wiceprezesem ZG.

Jest członkiem kilku komisji ZG, a także członkiem Stałej Komisji Współpracy PTT — PTTK. Został też delegowany przez ZG do prac w Radzie ds. Turystyki przy Premierze RP. Małgorzata Kieres była w latach 1992–1995 wiceprezesem Głównego Sądu Koleżeńskiego, a od 1995 r. jest członkiem ZG. Również członkiem ZG jest od 1995 r. Wojciech Lippa. W tej kadencji funkcję Sekretarza Głównego Sądu Koleżeńskiego pełni Jolanta Mikusińska.

Oddział był kilkakrotnie organizatorem posiedzeń Zarządu Głównego: w styczniu 1991 r. w Zakopanem, w maju 1991 r. w Piwnicznej, w październiku 1995 r. w Krynicy i w styczniu 1997 r. w Krynicy. Ponadto na zlecenie Zarządu Głównego zorganizował w maju 1993 r. w Szczawnicy spotkanie w sprawie przewodnictwa PTT.

Spółeczna praca członków Oddziału doceniana jest przez władze administracyjne i samorządowe. W latach 1990–1996 działacze Oddziału byli 14-krotnie wyróżniani odznaczeniami państwowymi, resortowymi i regionalnymi, a 13-krotnie odbierali nagrody wojewody nowosądeckiego.

19 lutego 1997 r. Zarząd Oddziału podjął uchwałę o przyjęciu przez Oddział imienia prof. Feliksa Rapfa, w latach 1924–1949 Prezesa Oddziału, człowieka zasłużonego nie tylko dla turystyki nowosądeckiej, ale dla całej turystyki polskiej.

Koło w Krynicy

Z inicjatywy **Mariana Ryby**, w dniu 14 września 1995 r. reaktywowane zostało Koło PTT w Krynicy, które działa przy nowosądeckim Oddziale. Prezesem Koła jest Marian Ryba, a członkami Zarządu **Władysław Augustyński**, **Franciszek Homa**, **Władysław Sady** i **Barbara Rzeszut**. Koło propaguje turystykę zarówno wśród mieszkańców Krynicy, jak i wśród przebywających w uzdrowisku kuracjuszy i wczasowiczów. Nawiązując do tradycji swoich poprzedników, Koło kładzie nacisk na organizację imprez zimowych. W lutym 1996 r. w zawodach narciarskich wzięło udział 39 dzieci, a w lutym 1997 r. — 57 dzieci.

Opracował: Bogdan Potoniec

PRASA NOWOSĄDECKA W LATACH 1891–1996 KATALOG CZASOPISM

CZĘŚĆ II M — Z

W drugiej części spisu czasopism zamieszczono informacje o 97 tytułach, łącznie katalog zawiera 185 tytułów czasopism nowosądeckich. W tej części zawarto dane o najbardziej znaczących pismach dla miasta Nowego Sącza. Pierwszym systematycznie a zarazem — jak dotąd — najdłużej wydawanym czasopiśmие — **SZKOLNICTWIE LUDOWYM**, pierwszej gazecie codziennej — **NOWINACH WOJENNYCH**, najlepszych tygodnikach okresu międzywojennego **PODHALAŃSKIM KURJERZE TYGODNIOWYM** i **ZIEMI SĄDECKIEJ**, najbardziej znanym piśmие stanu wojennego **WIADOMOŚCIACH NOWOSĄDECKICH**.

Niestety z przyczyn niezależnych od autora, w pierwszym odcinku, nie zostały wydrukowane wszystkie zachowane do dnia dzisiejszego winiety. W poprzedniej części wydawca z przyczyn technicznych (znaczne przekroczenie objętości zeszytu) zamieścił jedynie rysunki 19 winiet. Podobne ograniczenie musiało zaistnieć w tej części, uzyskano zgodę jedynie na reprodukcję 20 winiet. Tak więc łącznie ukaże się zaledwie 39 z liczby 162 winiet przygotowanych do druku.

MAŁOPOLSKI NOWY ŚWIAT — pismo codzienne dla wszystkich sfer; 2) Niezależny Instytut Wydawniczy w Krakowie; 3) oddział w Nowym Sączu, ul. Kard. Wyszyńskiego 3; 4) oddział w Nowym Sączu, listopad 1992 — styczeń 1993; 5) codzienna; 6) naczelny Wojciech Marchewczyk, oddział

w Nowym Sączu: Danuta Binek, Artur Smoleń, 7) B3, 8 stron —
wkładka sądecka, druk Krakowskie Zakłady Graficzne

MAXIM — Magazyn Krzyżówek Panoramicznych; 2) Agencja „Kwadrat”; 3) 33–300
Nowy Sącz, ul. Lwowska 218 b; 4) 1992–1994; 5) miesięcznik; 6)
zespół redakcyjny; 7) 21 x 15 cm, 8 stron, offset, 40–50 tys. egz.,
pismo czarno-białe, dodatkowe kolory, zasięg ogólnopolski

MEWA — Krzyżówki Panoramiczne; 2) Tadeusz Górowski; 3) 33–300 Nowy Sącz,
ul. Kołłątaja 18/20; 5) miesięcznik; 6) Tadeusz Górowski

MICHAŁ — Magazyn Rozrywek Umysłowych; 2) Wydawnictwo „Michał s.c. Urszula
i Lesław Pasiut; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Moniuszki 3; 4) 30 stycznia
1992 — grudzień 1994; 5) miesięcznik; 6) Lesław Pasiut; 7) B5, 8–
16 stron, offset, 99 tys. egz., dodatkowy kolor, zasięg ogólnopolski



MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY SZKOŁY NR 20 — patrz **ECHO DWUDZIESTKI**

MIESZCZANIN — organ miast mniejszych i miasteczek, organ miast i miasteczek
— dwutygodnik polityczny, ekonomiczny i społeczny; od 15 marca
1903 — pismo krytyczne; 2) Józef Gutowski, Teresa Gutowska; 3)
Nowy Sącz; 4) 1 października 1894 — 31 grudnia 1908 (z przerwą
od 1897 do 1903); 5) dwutygodnik; 6) Józef Gutowski; 7) 30 x 23,
35 x 25 cm, 8 stron, druk u Jana Litwińskiego w Wieliczce

MINI TRYBUNA SĄDECKA; 2) Powiatowy i Miejski Komitet Frontu Jedności Naro-
du; 3) Nowy Sącz; 4) grudzień 1973; 5) jednodniówka

MYŚL NARODOWA — tygodnik, (tytuł ten wymienia Kazimierz Gołachowski w kore-
spondencji z Biblioteką Jagiellońską w Krakowie, list w Archiwum

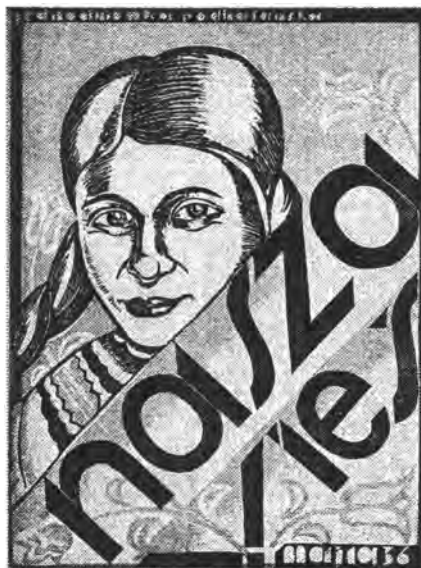
Państwowym w Krakowie Oddział w Nowym Sączu)

MYŚL POLSKA; 2) Armia Krajowa — Komenda Obydwu Nowy Sącz; 3) Żeleźnikowa k. Nowego Sącza; 4) maj — wrzesień 1944; 5) tygodnik, dwutygodnik; 6) Mieczysław Kenig

NAD DUNAJCEM — Nowosądecki Informator SdRP; 2) Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polski; 3) Nowy Sącz; 4) luty 1991; 5) jednodniówka; 6) zespół redakcyjny; 7) A4, 2 strony, zasięg województwo nowosądeckie

NA SĄDECKIEJ ZIEMI; 2) Powiatowy Komitet Frontu Jedności Narodu; 3) Nowy Sącz; 4) 1961; 5) jednodniówka; 6) Zdzisław Dudek, Lucjan Piekarz; 7) 68 stron, ilustracje

NASZA GAZETA — Magazyn Ziemi Sądeckiej; 2) Sądecka Miejska Strefa Usług Publicznych; 3) Nowy Sącz, ul. Jagiellońska 33; 4) styczeń 1997; 5) periodyk; 6) Zdzisław Sroka; 7) A4, 24 strony, offset, okładka wielobarwna



NASZA WIEŚ — Jednodniówka Podhalańska; 2) Koło Miłośników Podhala Młodej Sztuki Średnich; 3) Nowy Sącz; 4) maj 1936; 5) jednodniówka poświęcona regionalizmowi i młodej wsi; 6) prof. Franciszek Grodkowski; 7) 31,5 x 24 cm, 12 stron, 1 tys. egz., druk u Alojzego Mółki w Nowym Sączu

NASZ GŁOS — Niezależny organ żydowski Podhala i Podkarpacia; 2) gmina żydowska; 3) Nowy Sącz; 4) 10 listopada 1938 — koniec 1938 (2 numery); 5) tygodnik; 7) 41 x 29 cm, 4 strony, pismo w języku polskim

NASZE SPOTKANIA, do czerwca 1996 — **SPOTKANIA**; 2) parafia św. Małgorzaty, 3) 33–300 Nowy Sącz ul. Plac Kolegiacki 1, 4) kwiecień 1995, 5) miesięcznik; 6) Stanisław Jasiurkowski; 7) A4, 24 strony, offset, 1,7–2,5 tys. egz.

NASZE STRONY; 2) NASKA PRESS sp. z o.o. 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Sobieskiego 1a; 4) Oddział w Nowym Sączu od 22 września 1996, (w Rabce 10 kwietnia 1994); 5) tygodnik; 6) Paweł Filas; 7) 42 x 28 cm, 20 stron, offset, pismo czarno-białe, pierwsza, ostatnia strona okładki oraz reklamy — kolor, wewnątrz kolorowy 16 stronicowy dodatek z tygodniowym programem telewizyjnym

NATALKA — Magazyn Rozrywek Umysłowych; 2) Wydawnictwo „Michał” s.c. Urszula i Lesław Pasiut; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Moniuszki 3; 4) 25 listopada 1992 — grudzień 1994; 5) dwutygodnik; 6) Lesław Pasiut; 7) A4, 8–16 stron, offset, 75 tys. egz.

NI EWYP AŁ — gazetka szkolna; 2) Szkoła Podstawowa nr 13; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Jagiellońska 63; 4) luty 1995; 5) miesięcznik; 6) zespół; 7) A4, 16 stron, ksero, pismo czarno-białe



NOWINY PODHALAŃSKIE — aktualne, niezależne pismo tygodnikowe, aktualne i niezależne czasopismo zdrojowiskowe i gospodarczo-społeczne; 2) M. Lustig; 3) Nowy Sącz; 4) 3 czerwca 1934 — 10 stycznia 1939 (?); 5) tygodnik, nieregularnie; 6) Edward Pudło, Stanisław Klemensiewicz; 7) 46 x 30 cm, 35 x 25 cm, 4–12 stron, Drukarnia Podhalańska w Nowym Sączu



NOWINY WOJENNE; 2) Edward Gołachowski; 3) Nowy Sącz; 4) 16 października 1914 — 20 stycznia 1915; 5) codzienna; 6) Edward Gołachowski; 7) 42 x 29 cm, 2 strony, druk u Romana Pisza. **PIERWSZE CODZIENNE PISMO W NOWYM SĄCZU**

NOWOSĄDECKA GAZETA AGROTURYSTYCZNA; 2) Fundacja na Rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa (FDPA) — Biuro Terenowe w Nowym Sączu; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Piotra Skargi 2; 4) czerwiec 1996; 5) z założenia kwartalnik, w praktyce periodyk; 6) zespół redakcyjny; 7) A4, 4 strony, 3 tys. egz., offset, zasięg ogólnopolski

NOWOSĄDECKIE WIADOMOŚCI — patrz **WIADOMOŚCI NOWOSĄDECKIE**

NOWOSĄDECKI KURIER CHORYCH — wszechstronne wsparcie prawne chorych skrzywdzonych; 2) Bogdan Kalisz; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. J. Szujskiego 2; 4) 30 marca 1996; 5) jednodniówka; 6) Bogdan Kalisz; 7) A4, 16 stron, 20 tys. egz., offset, okładka dodatkowe kolory



NOWOSĄDECKI ROZWÓJ — dwutygodnik handlowo – przemysłowy — „poświęcony sprawom mieszczaństwa polskiego ze szczególnym uwzględnieniem interesów rękodzielników, przemysłowców i kupców”; 2) sądecki drukarz Roman Piśsz; 3) Nowy Sącz; 4) 1 lipca — 1 października 1905 (7 numerów); 5) dwutygodnik; 6) odpowiedzialny redaktor Józef

Matyjaszek; 7) 38 x 26 cm, 8–10 stron, 2000 egzemplarzy, drukowane było w zakładzie właściciela pisma

SĄDECKI EKSPERYMENT — NOWY SĄCZ, POWIAT I MIASTO; 2) Powiatowy i Miejski Komitet Frontu Jedności Narodu; 3) Nowy Sącz; 4) styczeń 1958; 5) jednodniówka; 7) 20,5 x 15 cm, 32 strony, Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie

NOWY ZWIĄZEK CHŁOPSKI — patrz **ZWIĄZEK CHŁOPSKI**

OBIJAK; 2) II Baon 4. Pułku Piechoty Legionów Polskich; 3) Nowy Sącz; 4) 1916–1917, (6 numerów w Nowym Sączu); 5) gazetka polowa; 6) Ludwik Markowski; 7) 22 x 17,5 cm, 20 stron, druk na hektografie

OD NAS SAMYCH WIELE ZALEŻY — program wyborczy Powiatowego Komitetu Frontu Jedności Narodu; 2) Powiatowy Komitet Frontu Jedności Narodu; 3) Nowy Sącz; 4) 1965 (przed wyborami FJN); 5) jednodniówka; 7) 60 stron, ilustracje

OGNIWO — Miesięcznik Młodzieży Harcerskiej; 2) Krąg St. Harcerski „Stare Orły” przy III drużynie im. Tadeusza Kościuszki; 3) Nowy Sącz; 4) styczeń 1937—(?); 5) miesięcznik; 6) dh Ludwik Kowalski; 7) A4; 8 stron, maszynopis powielany

ORLE CIOSY; 2) Stronnictwo Ludowe „Roch”; 4) druga połowa 1943; 6) Mieczysław Cholewa

ORLE; 2) III Drużyna Harcerska; 3) Nowy Sącz; 4) 1 października 1926–1928(?); 7) A4,

PARANOJA — gazetka szkolna; 2) I Liceum Ogólnokształcące; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Długosza 5; 4) miesięcznik; 5) listopad 1990 — wrzesień 1991 (10 numerów); 7) A4, 10–20 stron, 100 egz.

PAROCHÓD; 2) Wydział miejscowy Towarzystwa urzędników kolei austriackiej; 3) Nowy Sącz; 4) luty 1897; 5) jednodniówka satyryczna; 7) 50 x 30 cm, 12 stron

PARTIA CHRZEŚCJAŃSKICH DEMOKRATÓW — patrz **SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN 61 PARTIA CHRZEŚCJAŃSKICH DEMOKRATÓW**

PIGUŁA MĄDROŚCI — poradnik leksykalny; 2) Wydawnictwo „Michał”; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Moniuszki 3; 4) wrzesień 1993 — 15 grudnia 1994; 5) miesięcznik; 6) Urszula i Lesław Pasiut; 7) 24 x 16,5 cm, 64 strony, offset, 50 tys. egz., zasięg ogólnopolski

PIONIER; 2) działacze komunistyczni; 3) Warszawa — Nowy Sącz; 4) jednodniówka; 5) 1 listopada 1924; 6) Stefan Lenczewski; 7) 31 x 23,5 cm, 16 stron, 2 tys. egz., druk w drukarni Jelenia w Tarnowie

PŁOMIENIE; 2) Koło Młodzieży Socjalistycznej; 3) Nowy Sącz; 4) 1918–1920; 7) druk na hektografie

PODHALAŃSKA PRAWDA — niezależne czasopismo tygodnikowe; 2) Spółka Wydawnicza; 3) Nowy Sącz; 4) 5 czerwca 1938 — 3 maja 1939; 5) tygodnik; 6) Stanisław Brzeziński; 7) 40 x 28,5 cm, 4–8 strony, druk w Drukarni Diecezjalnej w Tarnowie, od lipca 1938 w drukarni Krystyny Sieradzkiej dawniej Romana Piszsa w Nowym Sączu



PODHALAŃSKI KURJER TYGODNIOWY — bezpartyjny tygodnik ziemi sądeckiej, grybowskiej, limanowskiej oraz uzdrowisk, od nr 18 z 2 maja 1927 — **TYGODNIOWY KURJER PODHALAŃSKI** — organ Podhala i Zdrojowisk, od nr 46 z 30 października 1927 — **KURJER PODHALAŃSKI**; 2) spółka wydawnicza; 3) Nowy Sącz; 4) 14 listopada 1926 — 11 sierpnia 1929; 5) tygodnik; 6) naczelny Stanisław Klemensiewicz, a odpowiedzialny Stanisław Körbel, od września 1927 roku naczelny St. Körbel, odpowiedzialny Tadeusz Giewont–Szczecina; 7) 39 x 26 cm, 4–6 stron, druk u Teresy Jakubowskiej w Nowym Sączu, później u Izaka Engelberga w Tarnowie

PODRĘCZNE KRZYŻÓWKI PANORAMICZNE; 2) Wydawnictwo „Karpaty”; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Nowy świat 2; 4) styczeń 1995; 5) miesięcznik; 6) zespół redakcyjny; 7) A5, 16 stron, offset, 3 tys. egz.

PODRĘCZNY SŁOWNIK KRZYŻÓWKOWICZA — vademecum; 2) Wydawnictwo „Karpaty”; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Nowy Świat 2; 4) maj 1994; 5) miesięcznik; 6) zespół redakcyjny; 7) A5, 34 strony, offset, 50 tys. egz., dodatkowy kolor

POGLĄDY ZMW — jednodniówka ZW ZSMP, wydano z okazji X-lecia ZSMP; 2) Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej; 3) Nowy Sącz; 4) kwiecień 1986; 5) jednodniówka; 6) Jerzy Wideł; 7) 21 x 15 cm, 20 stron

Opisano ryczałtem. Cena numeru 20 gr.

NOWY SĄCZ — NIEDZIELA DNIA 29 MAJA 1932

Nr. 10. **POLAK** Rok I.

Podkarpackie czasopismo społeczno-oświatowe i gospodarcze.

Wychodzi co drugą niedzielę.
Prenumerata kwartalna
ZŁ 125.

ADRES REDAKCJI:
Nowy Sącz — ul. Św. Ducha 3.
Adres dla kół: Nowy Sącz, skrytka 12.
Kaszo ciekawa P. K. O. Kraków Nr. 694.344.

OGŁOSZENIA:
Cała strona ZŁ 100—
1/2 strony 50—
1/4 25—
Drobnie opłatom. 20 gr. za wiersz.
Opłatom. płatow. się z góry.

WYDAWCA: JÓZEF MOKRZYCKI.

POLAK — Podkarpackie czasopismo społeczno-oświatowe i gospodarcze; 2) Józef Mokrzycki z Korzennej; 3) Nowy Sącz; 4) 17 stycznia — 29 maja 1932 (10 numerów); 5) dwutygodnik; 6) Józef Mokrzycki; 7) 29 x 21 cm, 8–12 stron, druk u Alojzego Mółki w Nowym Sączu



POLONIJNE SPOTKANIE POKOLEŃ — Stary Sącz, lipiec 1983; 2) Biuro Organizacyjne Polonijnego Spotkania Pokoleń przy Wojewódzkim Ośrodku Kultury w Nowym Sączu; 3) Nowy Sącz — Stary Sącz; 4) lipiec 1983, (2 numery); 5) jednodniówka; 6) prowadzący — Sławomir Sikora; 7) A4, 12 stron, 1,5–2 tys. egz.

PROGRAM WYBORCZY FJN; 2) Front Jedności Narodu; 3) Nowy Sącz; 4) 1954; 5) jednodniówka; 7) 8 stron

- PROMYCZEK DOBRA** — gazetka dla dzieci; 2) Parafia św. Małgorzaty; 3) 33–300 Nowy Sącz, Plac Kolegiacki 1; 4) 20 grudnia 1991; 5) miesięcznik; 6) ks. Andrzej Mulka; 7) A5, 16–28 stron, offset, 5–12 tys. egz., okładka wielobarwna
- PRZYJACIEL KATOLICKIEGO LUDU** — pismo błędnie uznawane przez niektórych autorów prac o prasie nowosądeckiej za pismo misyjne. Jedyny związek dwutygodnika z Nowym Sączem był taki, że było drukowane na przełomie lat 1893/94 w drukarni Romana Pisza i być może kolportowane w Nowym Sączu. Macierzysta redakcja znajdowała się w Pleśniej koło Tarnowa
- ROCZNIK SADECKI**; 2) Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Nowym Sączu, Miejska Rada Narodowa, Rada Miasta Nowego Sącza; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Jagiellońska 30; 4) 1939; 5) rocznik; 6) Tadeusz Mączyński, Kazimierz Gołachowski, Marian Nowak, Feliks Kiryk; 7) 24,5 x 17,5 cm, 350–500 stron, 1000 egz.
- ROBOTNIK** — patrz **TRYBUNA SPOŁECZNA**
- ROZWÓJ** — prawdopodobnie późniejsza nazwa dwutygodnika **NOWOSĄDECKI ROZWÓJ**
- ROSYNANT** — Zeszyty Ekologiczne; 2) Stowarzyszenie PRACOWNIA NA RZECZ WSZYSTKICH ISTOT; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Piastowska 5; 4) październik 1994 — luty 1995, (5 numerów); dwumiesięcznik; 7) A4, 24 strony, offset, dodatkowy kolor
- RÓBMY SVOJE** — Biuletyn Nowosądecki, Rolnictwo — Samorząd — Gospodarka; 2) Zarząd Wojewódzki PSL SOLIDARNOŚĆ i ZChN; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Pijarska 17a; 4) luty — marzec 1991, (2 numery); 5) jednodziówka; 6) Aleksander Krzyżanowski; 7) 34,5 x 25 cm, 4 strony, druk Zakład Poligraficzny Nowomąg w Nowym Sączu
- RUBIK** — Magazyn rozrywek umysłowych; 2) Wydawnictwo „Kwadrat”; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Nowy Świat 2; 4) 1994; 5) miesięcznik; 6) Paweł Sierotowicz; 7) B5, 4 strony, offset
- RUBIN** — Magazyn rozrywek umysłowych; 2) Stanisław Grzybowski; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Żółkiewskiego 25/29; 5) miesięcznik; 6) Stanisław Grzybowski
- SANDZER ZEITUNG (GAZETA SADECKA)**; 2) gmina żydowska; 3) Nowy Sącz; 4) 6 maja 1910 — 2 czerwca 1911; 5) tygodnik; 7) drukowane było w języku jidysz

SANDZER ZEITUNG (GAZETA SĄDECKA); 2) gmina żydowska; 3) Nowy Sącz; 4) do lipca 1933 roku ukazały się 3 numery; 7) pismo w języku jidysz

SĄDECKA JEDNODNIÓWKA; 2) Frontu Jedności Narodu i PZPR; 3) Nowy Sącz; 4) 13 stycznia 1982; 5) jednodniówka; 7) 42 x 29 cm, 8 stron



SĄDECKA KURENDA KULTURALNA — informator kulturalny; 2) Wojewódzki Ośrodek Kultury; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Długosza 3; 4) czerwiec 1994; 5) miesięcznik; 6) Marzanna Raińska; 7) A3, 2 strony, offset, 15 tys. egz.

SĄDECKI EKSPERYMENT — patrz **NOWY SĄCZ, POWIAT I MIASTO**

SĄDECKI INFORMATOR ROLNICZY; 2) Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Nowym Sączu z siedzibą w Nawojowej; 3) 33–335 Nawojowa 1; 4) luty 1991; 5) miesięcznik; 6) Jan Basta; 7) A4, 28 stron, offset, 2–3,7 tys. egz., od 1993 wielobarwne

SĄDECZANIE I GÓRALE — Miesięcznik Nowosądecki, 1–szy numer **SĄDECZANIE;** 2) Agencja Reklamowo–Usługowa MDJ; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Grunwaldzka 8; 4) lipiec 1992 — jesień 1992 (2 numery); 5) miesięcznik; 6) Janusz Rusnak; 7) A4, 24 strony, 5 tys. egz., dodatkowe kolory

SĄDECZANIN — Organ Miasta Nowego Sącza i Obwodu; 2) Zygmunt Mayer, Teresa Gutowska; 3) Nowy Sącz; 4) od 1897 roku był dodatkiem do Mieszczanina, od 5 października 1900 samodzielny — 1 maja 1903; 5) tygodnik, od 1902 dwutygodnik (1 i 15 każdego miesiąca); 6) Zygmunt Mayer, od 14 września 1902 Józef Gutowski; 7) 36 x 24,5 cm, 32 x 23,5 cm, 8 stron, druk u Jana Litwińskiego w Wieliczce



SĄDECZANIN

MIESIĘCZNIK SAMORZĄDOWY

Rok 1

Nr 5/6

Nowy Sącz

Listopad - Grudzień 1995

cena 1 zł

SĄDECZANIN — Ratuszowy Biuletyn Informacyjny, Miesięcznik Samorządowy i wreszcie Biuletyn Samorządowy; 2) Wydział Kultury i Promocji UM, Fundacja Na Rzecz Miasta Nowego Sącza; 3) Nowy Sącz; 4) lipiec 1995 — kwiecień 1996, (8 numerów); 5) miesięcznik; 6) Wojciech Chmura; 7) A4, 6–28 stron (dla numerów podwójnych), okładka wielobarwna

SIEDEMDZIESIĘCIO (70) LECIE ORKIESTRY DĘTEJ ZAKŁADÓW NAPRAWCZYCH TABORU KOLEJOWEGO W NOWYM SĄCZU 1892–1962; 2) Komitet Obchodów Jubileuszu w ZNTK; 3) Nowy Sącz; 4) 6 października 1962; 5) jednodniówka; 6) Mieczysław Markowicz, Antoni Sitek; 7) 20 x 14,5 cm, 30 stron, Zakłady Graficzne Nowosądeckich Zakładów Przemysłu Terenowego w Nowym Sączu

SKAUT — pismo harcerskie wydawane w Nowym Sączu przed I wojną światową (?)

SŁOWA PRZYJAŹNI — Jednodniówka Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko–Radzieckiej; 2) Zarząd Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko–Radzieckiej; 3) Nowy Sącz; 4) listopad 1984; 5) jednodniówka; 6) zespół redakcyjny; 7) 42 x 29 cm, 8 stron, 2 tys. egz.



SOLIDARNOŚĆ W NOWOSĄDECKIEM — pismo ruchu „Solidarność”; 2) Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”; 3) Nowy Sącz; 4) 1981, (2 numery); 5) periodyk; 6) zespół redakcyjny; 7) B5, 16 stron, maszynopis powielany

SPOTKANIA — patrz **NASZE SPOTKANIA**

STABAT MATER — gazeta parafialna; 2) Parafia Matki Bożej Bolesnej w Nowym Sączu — Zawadzie; 3) Nowy Sącz, ul. Kręta 1; 4) 1996; 5) nieregularnie; 6) zespół redakcyjny; 7) A4, 8 stron, ksero

STOCZTERDZIEŚTO (140) LECIE ISTNIENIA I LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO im. JANA DŁUGOSZA W NOWYM SĄCZU 1818–1958; 2) Komitet Obchodów 140–lecia I Liceum Ogólnokształcącego; 3) Nowy Sącz; 4) 1958; 5) jednodniówka; 6) praca zbiorowa; 7) A4, 30 stron, maszynopis powielany

STO (100) SĄDECKI TYGODNIK OGŁOSZENIOWY; 2) „100 Press” s.c.; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Barska 8/7; 4) 7 lipca — 25 sierpnia (?) 1995; 5) tygodnik — w rzeczywistości nieregularnie; 6) Tomasz Kmak; 7) A4, 8 stron, offset, dodatkowy kolor

SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN (61) PARTIA CHRZEŚCJAŃSKICH DEMOKRATÓW, Jednodniówka wyborcza PChD; 2) Partia Chrześcijańskich Demokratów; 3) Nowy Sącz; 4) październik 1991 (przed wyborami); 5) jednodniówka; 7) A4, 6 stron, offset, dodatkowy kolor

SZKOLNICTWO — do 5 kwietnia 1895 **SZKOLNICTWO LUDOWE** — Organ nauczycieli ludowych; 2) Henryk Kisielewski, Józef Gutowski; 3) Nowy Sącz; 4) 13 stycznia 1891 — maj 1913; 5) dwutygodnik (5 i 20 każdego miesiąca), po dwóch latach trzy razy w miesiącu (5, 15, 25); 6) Henryk Kisielewski, od 20 kwietnia 1893 Józef Gutowski; 7) 28,5 x 20,5 cm, 16 stron, niezależne czasopismo, oprócz Galicji rozchodziło się na Śląsk, do Księstwa Poznańskiego i Ameryki, druk u Jana Litwińskiego w Wieliczce. **PIERWSZE SYSTEMATYCZNIE WYDAWANE PISMO W MIEŚCIE. NAJDŁUŻEJ WYDAWANE CZASOPISMO W NOWYM SĄCZU**

ŚWIT; 2) parafia greckokatolicka; 3) Nowy Sącz; 4) 1913; 6) red. ks. grecko-katolicki Kaczmarczyk; 7) druk u Romana Pizsa

TAK CZY INACZEJ — do 1 marca 1995 roku — **KOMUNIKATY INFORMACJE KOMENTARZE**; 2) Sądeckie Biuro Organizacyjne Przewodniczącego Bezpartyjnego Bloku Wspierania Reform; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Narutowicza 6; 4) 18 grudnia 1994 — 18 lipca 1995, (4 numery); 5) raz na trzy tygodnie; 6) Dorota Goławska; 7) A4, 6–8 stron, offset, 1000 egz., dodatkowy kolor

TOP MODEL Mini magazyn; 2) TOP MODEL s.c.; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Marcinkowska 76; 4) 23 listopada — 21 grudnia 1990, (3 numery); 5) dwutygodnik; 6) Małgorzata Basta; 7) A3, 2 strony, offset, 25 tys. egz., pismo wielobarwne, zasięg ogólnopolski

TRYBUNA SĄDECKA — Wydawnictwo Społeczno-Kulturalne PiMK Frontu Jedności Narodu; 2) Powiatowy i Miejski Komitet Frontu Jedności Narodu; 3) Nowy Sącz; 4) grudzień 1973 — luty 1974, (2 numery); 6) zespół redakcyjny; 7) 42 x 30 cm, 12 stron, drugi numer zawierał ośmistronicowy dodatek z okazji XXX-lecia Polski Ludowej, druk w Prasowych Zakładach Graficznych RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Krakowie.

TRYBUNA SĄDECKA — gazeta sądecka niecodzienna; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Armii Krajowej 9/12; 4) 1993 (3 numery), 1994 (1 numer), 1995 (1 numer); 5) miesięcznik; 6) zespół; 7) A4, 2–12 stron, offset, dodatkowy kolor, zasięg teren województwa



TRYBUNA SPOŁECZNA — Organ niezależny stojący na straży interesów polskiej klasy pracującej, tytuł dwóch pierwszych numerów **ROBOTNIK** — Organ niezależny poświęcony interesom robotnika polskiego i inteligencji pracującej; 2) Narodowa Partia Robotnicza, Spółdzielnia „Robotnik”; 3) Nowy Sącz; 4) 15 kwietnia — 15 września 1922; 5) miesięcznik, dwutygodnik; 6) Józef K. Macko; 7) 38 x 27 cm, 6–8 stron, druk u Teresy Jakubowskiej

X **TYGODNIK SĄDECKI** — pismo niezależne; 2) grupa działaczy NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Broniewskiego 30a/10 i 38–300 Gorlice, ul. Ściegiennego 9; 4) 23 grudnia 1989 — 1 stycznia 1991, (20 numerów); 5) tygodnik; 6) Piotr Kałamarz; 7) A4, 8–10 stron, okładka dodatkowy kolor, zasięg Nowy Sącz i Gorlice

Tygodnik Sądecki

CZARNO NA BIAŁYM

Nowy Sącz, 14 kwietnia 1994 r.

Nr 1 (21) Cena 5.000 zł

TYGODNIK SĄDECKI — Czarno na białym; 2) Spółka Cywilna WOMAD; 3) Nowy Sącz; 4) 14 kwietnia — 7 maja 1994 roku, (3 numery); 5) tygodnik; 6) Tomasz Biel; 7) 42 x 29 cm, 12 stron, offset

TYGODNIK SZKOLNY — prawdopodobnie pierwsze pismo lokalne w Nowym Sączu; 4) 1868 (4 numery); 6) Franciszek Murdziński; 7) nakład ok. 50 egzemplarzy. Nie zachował się ani jeden numer tego wydawnictwa.

TYGODNIK KURJER PODHALAŃSKI — patrz **KURJER PODHALAŃSKI**

ULKA — pismo szaradziarsko–rozrywkowe; 2) Wydawnictwo „Michał” s.c. Urszula i Lesław Pasiut; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Moniuszki 3; 4) 30 stycznia 1992 — grudzień 1994; 5) miesięcznik; 6) Lesław Pasiut; 7) A4, B5, 8–16 stron, offset, 95 tys. egz., dodatkowy kolor, zasięg ogólnopolski

UŚCISK WĘŻA — magazyn kryminalno–sensacyjny; 2) Wydawnictwo „Michał” s.c. Urszula i Lesław Pasiut; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Moniuszki 3; 4) 1994, (2 numery); 5) dwutygodnik, 6) Lesław Pasiut; 7) B5, 8–16 stron, offset, 99 tys. egz., dodatkowy kolor, zasięg ogólnopolski

VADEMECUM KRZYŻÓWKOWICZA; 2) Wydawnictwo „Karpaty”; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Nowy Świat 2; 4) 1994; 5) miesięcznik; 6) Paweł Sierotowicz; 7) A5, 18–24 strony, offset, dodatkowy kolor



WATRA PODHALA — Czasopismo regionalno-podhalańskie poświęcone sprawom kulturalno-oświatowym i gospodarczym. Obejmujące wszystkie dziedziny Podhala; 2) Mieczysław Cholewa; 3) Nowy Sącz; 4) czerwiec 1936; 5) jednodniówka; 6) Mieczysław Cholewa; 7) 28 x 21 cm, 1 tys. egz., 12 stron, bogato ilustrowane, druk u Alojzego Mółki



WIADOMOŚCI NOWOSĄDECKIE



Wydaje MKO NSZZ SOLIDARNOŚĆ w Nowym Sączu
pismo współpracuje z RKS Małopolska

Nowy Sącz, dn. 18 sierpnia 1989r.

Nr 67

WIADOMOŚCI NOWOSĄDECKIE, do grudnia 1982 **NOWOSĄDECKIE WIADOMOŚCI**; 2) Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „SOLIDARNOŚĆ”; 3) Nowy Sącz; 4) 26 stycznia 1982 — 10 stycznia 1990; 5) nieregularnie; 6) zespół redakcyjny; 7) 21 x 15 cm, 4 strony

WIADOMOŚCI SĄDECKIE — patrz **WIADOMOŚCI SĄDECKO-LIMANOWSKIE**



WIADOMOŚCI SĄDECKO-LIMANOWSKIE, do sierpnia 1956 — **WIADOMOŚCI**

SĄDECKIE — Organ Komitetów Frontu Narodowego; 2) Powiatowa Rada Narodowa, Komitet Powiatowy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i Komitet Powiatowy Frontu Narodowego; 3) Nowy Sącz; 4) 1 listopada 1954 — 22 lutego 1957 (47 numerów); 5) dwutygodnik; 6) kolegium redakcyjne; 7) 40 x 28 cm, 4–8 stron, 5 tys. egz., dodatkowy kolor, druk w Krakowskich Zakładach Graficznych w Krakowie

WIŚLIKO — jednodniówka GROBLAN; 2) Wojciech Szczygieł; 3) Nowy Sącz; 4) 1993 (3 numery), 1994 (1 numer); 5) jednodniówka osób urodzonych w Grobli k. Krakowa, a zamieszkających w Nowym Sączu; 6) Wojciech Szczygieł; 7) A4, 2–4 strony, ksero

WŁÓCZĘGA — pismo Starszej Żeńskiej Drużyny Harcerskiej; 2) Zastęp Promyków Słonecznych; 3) Nowy Sącz; 4) listopad 1929 (?); 7) A4, 4 strony, maszynopis powielany na hektografie

WOJNA DOMOWA. ECHA Z WYBORÓW DO ZWIERZCHNOŚCI GMINNEJ MIASTA NOWEGO SĄCZA; 3) Nowy Sącz; 4) 1897; 5) jednodniówka

WYDANIE SPECJALNE na 85-lecie utworzenia Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Józefa Szujskiego w Nowym Sączu; 2) Wojewódzka Biblioteka Publiczna; 3) Nowy Sącz; 4) maj 1976; 5) jednodniówka; 6) Henryk Stamirski; 7) A4, 12 stron, 500 egz. drukarnia Nowomag w Nowym Sączu

WYZNANIE PRZEKONANIOWE GROMADY JASTRZĘBI — pismo młodzieżowe, znane tylko z opisu znajdującego się w Centralnej Bibliotece Wojskowej w Warszawie. Wydawnictwo sokole, jeden z numerów ukazał się w Nowym Sączu 10 marca 1910 roku.



ZARZEWIE; 2) Powiatowa Trójka Polityczna — Stronnictwo Ludowe „Roch”, kryptonim „Las”; 3) Bukowiec k. Lipnicy Wielkiej gmina Korzenna; 4) 20 marca 1944 — 7 stycznia 1945, (29 numerów); 5) dekadówka, od numeru 15 tygodnik; 6) Alojzy Wiatr ps. „Zawierucha”; 7) A4, 8–12 stron, 300–1500 sztuk, maszynopis powielany, do kwietnia 1944 r. drukowane było w Brzanie pow. tarnowski, potem w domu Józefa Maciaszka w Bukowcu

ZDERZAK — magazyn uczniów IV LO; 2) Samorząd Uczniowski IV Liceum Ogólnokształcącego; 3) 33–300 Nowy Sącz, ul. Jagiellońska 61; 4) październik 1993 — maj 1994, (3 numery); 5) periodyk; 6) opiekun redakcji: Bogusław Kołcz; 7) A5, 28–48 stron, 150 egz., okładka dodatkowy kolor



ZEW GÓR — Organ Zrzeszenia Młodzieży Szkół Średnich; 3) Nowy Sącz; 4) 1 stycznia 1933 — 20 maja 1939, (50 numerów); 5) miesięcznik; 6) zespół redakcyjny; 7) 30,5 x 23 cm, 28 x 21 cm, 20 stron, bogata szata graficzna



Nowy Sącz — Limanowa — Stary Sącz
Krynica — Grybów — Mszana Dolna
Piwniczna — Tymbark — Dobro
Muszyna — Żegiestów

Nr inwentaryzacyjny
44233

ORGAN
KLUBU ZIEMI
SĄDECKIEJ

ZIEMIA SĄDECKA

NOWY SĄCZ

CZASOPISMO KULTURALNO—SPOŁECZNE

15 IV — 30 IV 1957

Nakład: 7.000 egz.

Nr 1

Cena 1,50 zł

ZIEMIA SĄDECKA — tygodnik poświęcony sprawom politycznym, społecznym i ekonomicznym; 2) Spółka Wydawnicza Sądecka; 3) Nowy Sącz; 4) 3 maja 1913 — 27 lipca 1914; 5) tygodnik; 6) Edward Golachowski; 7) 42 x 29 cm, 4–6 stron

ZIEMIA SĄDECKA — czasopismo kulturalno—społeczne; 2) Klub Ziemi Sądeckiej; 3) Nowy Sącz; 4) 15 kwietnia i 15 czerwca 1957, (2 numery); 6) kolegium redakcyjne; 7) 42 x 30 cm, 8 stron, 7 tys. egz.

ZIEMIA SĄDECKA W LATACH 1945–1959; 2) Powiatowy Komitet Frontu Jedności Narodu; 3) Nowy Sącz; 4) 1959; 5) jednodniówka; 6) D. Kozubowa, J. Michalewicz; 7) 23 x 16,5 cm, 48 stron, 5 tys. egz.

Nr. 2.

Nowy Sącz, 12. VI 1933

Rok IX.

Nadzwyczajny Okólnik

ZŁOTY RÓG

dla Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej całego Okręgu Nowosądeckiego.

ZŁOTY RÓG — Nadzwyczajny Okólnik dla Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej całego okręgu Nowosądeckiego; 2) Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej; 3) Nowy Sącz; 4) marzec 1924(?) — czerwiec 1933(?); 5) miesięcznik, nieregularnie; 6) Zdzisław Jeż; 7) 33,5 x 21 cm, druk u Alojzego Mółki w Nowym Sączu

Z UBOCZY; 2) Bataliony Chłopskie; 3) okolice Nowego Sącza; 4) przełom 1943–1944; 6) Mieczysław Cholewa ps. „Obłaz”, dowódca oddziału BCh „Juhas”



ZWIĄZEK CHŁOPSKI — Organ Stronnictwa Chłopskiego i Klubu Sejmowego Katolicko-Ludowego, dwutygodnik polityczny, ekonomiczny i społeczny; 2) Stanisław Potoczek; 3) Nowy Sącz — Rdziostów; 4) 1 marca 1894 — kwiecień 1908; 5) dwutygodnik (1 i 15 każdego miesiąca), od 10 marca 1895 roku dekadówka (1, 11 i 21 każdego miesiąca); 6) redaktor odpowiedzialny: Stanisław Potoczek z Rdziostowa; 7) 29,5 x 21 cm, 4–8 stron, druk u J. K. Jakubowskiego w Nowym Sączu

ZWIĄZEK CHŁOPSKI, pierwsze 2 numery wydane IX i X 1924 roku — **NOWY ZWIĄZEK CHŁOPSKI**, dwutygodnik społeczno-polityczny, poświęcony sprawom ludu wiejskiego, organ Związku Chłopskiego; 2) Okręgowy Związek Chłopski; 3) Nowy Sącz; 4) wrzesień 1924–1925(?); 5) dwutygodnik; 6) dr Józef Łodygowski, odpowiedzialny Józef Mokrzycki z Korzennej; 7) 30 x 24 cm, 8 stron

ŻAR — miesięcznik dla starszej młodzieży harcerskiej; 2) I Zastęp III NS drużyny; 3) Nowy Sącz; 4) grudzień 1936(?); 5) miesięcznik; 6) naczelny: Ludwik Kowalski, odpowiedzialny: W. Martyszewski; 7) A4, 4 strony, maszynopis powielany w Zakładzie Graficznym I zastępu przy III drużynie im. T. Kościuszki w Nowym Sączu

WOJENNE LATA SZKOLNE W NOWYM SĄCZU

Zaraz u początku II wojny światowej polską młodzież wypędzono ze szkół. Czy my — ówczesna młodzież zdawaliśmy sobie sprawę z konsekwencji zaistniałego stanu rzeczy? Przywilejem młodości jest patrzenie z ufnością w przyszłość. W moim sądeckim domu pojawiły się przynoszone przez mego ojca — **Mariana Kołodzieja** — nielegalne gazetki „*Polska żyje*”. Życ miała w nas, ale to trzeba było troskliwie pielęgnować. W młodym człowieku w wieku szkolnym tkwi pragnienie poszerzania swojej wiedzy. Nie sądzę, by było to pragnienie przymusu szkolnego, tęsknota do ław, katedry, tablic, i kredy. Tęskniłam jednak do uporządkowanej, zorganizowanej nauki o niepojętym świecie, do odkrywania jego tajemnic. Toteż nieskończoną wdzięczność czuję do ojca, który skierował mnie pod właściwy adres tajnych kompletów nauczania, gdzie rozwijano piękną działalność żołnierzy bez broni państwa podziemnego. Tajne komplety w Nowym Sączu to dla mnie dom pp. **Flisów** przy ul. Jagiellońskiej 29, dom sióstr — p. **Gryglewskiej** i p. **Zathey'owej** na tzw. Piekło oraz klasztor ss. Niepokalanek, czyli Biały Klasztor za miastem. Na początku był jednak Biały Klasztor. Rozpoczęłam tam naukę w gimnazjum we wrześniu 1938 r. Po okresie zamętu walk frontowych we wrześniu 1939 r. wróciłam do szkoły. Niestety, na krótko. W połowie października w trakcie lekcji matematyki prowadzonej przez siostrę **Beatę Włoszczewską** zabrzmiał dzwonek, jak na przerwę. Siostra Beata wyszła na korytarz, a my siedziałyśmy tak zdumione, że nawet nie byłyśmy w stanie głośno gadać. Gdy siostra Beata wróciła, nie uszło naszej uwadze, że była bardzo zdenerwowana. Kazała nam w parach wyjść na korytarz, gdzie ustawiono nas pod ścianą. Pod koniec wojny stawałam pod ścianą w więzieniu na Montelupich, ale w październiku 1939 r. było to po raz pierwszy w moim życiu. Obok nas, drugoklasistek, ustawiała się cała szkoła. Wtedy zdumione usłyszałyśmy w korytarzu przy kaplicznym żołnierskie kroki.

Niezwykłe! Mężczyźni bywali w klasztorze (choćby np. nasi ojcowie), ale w parlatorium i nie rozchodzili się po klasztorze. Zza załamania korytarza wyłoniła się postać przełożonej w białym habicie, siostry **Emanueli Szemiuth**, a obok niej szedł Niemiec w mundurze i czapce na głowie. Na otoku czapki tkwiła trupia główka. Stanęli naprzeciw nas i przełożona obwieściła nam, że mamy w spokoju opuścić szkołę i nigdy do niej nie wracać. Szkoła zostaje zamknięta. Nie mogłyśmy zrozumieć, o co tu chodzi, odczułyśmy jednak, że dzieje się nam krzywda. No i groza zawisła w powietrzu. Odzwierciedliła się w twarzach siostr profesorek. Zeszłyśmy przygnębione do szatni, a potem na drogę do miasta.

Niemcy zajmowali Europę, posuwali się szybkim krokiem w głąb Związku Radzieckiego, podchodzili w zwycięskim pochodzie pod Moskwę i Kaukaz, a ja z polecenia ojca zjawiałam się w domu państwa Flisów po zabronioną przez Niemców naukę. „*Twój ojciec, tak jak i ja, nie wierzy, że Hitler ostatecznie zwycięży.*” To były słowa witające mnie pani **Marii Flisówny** zwanej przez rodzinę i przez jej ówczesne uczennice Dziną. Czy w tamtym rozpaczliwym czasie mój ojciec nie wątpił w klęskę Hitlera, nie wiem. Wiem, że naukę uważał za wartość bezcenną, kształcącą, ale też wychowującą. I to ofiarowywał.

Dom pp. Flisów stał na rogu ul. Jagiellońskiej i ul. Kościuszki. Na parterze były sklepy, a z parterowego korytarza wychodziło się do cukierni nazwanej „Słodką Dziurką” oraz szło się na piętro do kancelarii adwokackiej jednej z siostr p. **Stanisławy Flisówny** — zwanej Sianką. Całe piętro zajmowały dwa wielopokojowe mieszkania. W tych mieszkaniach odbywały się komplety tajnego nauczania. W moim zespole były cztery dziewczyny i chłopiec: **Irka Zarzycka**, **Nina Przełęcka**, **Kazia Frankowiczówna**, ja i **Kazik Gacek**. Przychodziliśmy na polecenie, albo z ulicy Kościuszki, albo Jagiellońskiej zmierzając ni to do cukierni, ni to do kancelarii bez żadnych książek, z jednym zeszytikiem, nie bez dreszczu emocji, ukrytym w torebce. Wchodziliśmy do kamienicy na oczach sądeckich gestapowców, którzy naprzeciw pod restauracją często przestawali. Na wszelki wypadek mieliśmy wyznaczony sposób „rozpyłwania się” w mieszkaniu i przyjmowania różnych ról. Rodzice nasi uiszczali jakieś dobrowolne kwoty za nasze nauczanie — przecież z czegoś musiały żyć zwolnione z zamkniętych szkół średnich nauczycielki — ale nie było to dla nich najważniejsze, o czym wkrótce mieliśmy się przekonać. Pierwszą spotkało to Irkę Zarzycką. Pewnego dnia przyszła s płakana. Tato jej został aresztowany i umieszczony na liście zakładników. Irka oświadczyła nam, że z matką znalazły się bez środków do życia i wobec tego przerywa naukę. Współczująca i stroskana p. Dзина zabrała Irkę do osobnego pokoju, a gdy po pewnej chwili obydwie wróciły, Irka zasiadła razem z nami do nauki. Potem ten los spotkał **Kazię Frankowiczównę**, a wkrótce mnie.

Nasi ojcowie zginęli w Oświęcimiu. Nasze mamy okrzepli i zaczęły dawać sobie radę, bohatersko walcząc o byt swoich dzieci. Ja musiałam kilka godzin dziennie spędzać w zakładzie fryzjerskim, jako rzekoma praktykantka, by chronić się przed wywozem na tzw. roboty do Niemiec. Moje koleżanki i kolega też to sobie na swój sposób załatwili i kompletów tajnego nauczania nie zaniedbywaliśmy.

Dwa mieszkania pp. Flisów na piętrze zwane były „północ” i „południe”. Na „północy” zasiadaliśmy przy okrągłym stole z p. Dziną i tu opanowywaliśmy nauki matematyczno-fizyczno-chemiczne, a także religię tj. historię Kościoła. Ćwiczenia z fizyki czy chemii opisywała nam p. Dzina, a my jej wierzyliśmy na słowo. Na „południu” uczyliśmy się geografii i języka niemieckiego z p. **Wandą Flisową**, a p. **Zosia Flisówna** uczyła nas łaciny i biologii. Na historię i język polski chodziliśmy na przedmieście zwane Piekłem, do pań Gryglewskiej i Zathey’owej.

Kochaliśmy dom pp. Flisów. Tam, oprócz lekcji przeprowadzaliśmy rozmowy na interesujące nas tematy, tam przychodziliśmy ze swoimi wielkimi troskami i bardzo małymi sprawami, tam układaliśmy trasy przyszłych wycieczek (z p. Wandą), tam zachwycaliśmy się maleńkimi Flisównymi (córeczkami p. Wandy i p. Jadwigi), których to dzieciątek ojcowie — Janusz i Adam — przed ich urodzeniem ruszyli na wojnę i losy ich były nieznane, tam otwierała przed nami szafy pełne ocalonych z hitlerowskiego pogromu książek p. Flisowa (mama), które wynosiliśmy na zewnątrz prze-myślnie, a konspiracyjne, tam grała nam na fortepianie p. Dzina wprowadzając w świat wielkiej muzyki, tam koncentrowało się nasze życie intelektualne i emocjonalne. Dojrzewaliśmy pięknie.

Zdarzały się jednak przerwy w naszej nauce szkolnej. Kosztowało nas to wiele przykrych emocji. Informowano nas, że jesteśmy „namierzeni” i trzeba wstrzymać schodzenie się w domu pp. Flisów. Potem oznaczano nowy sposób sygnalizowania przybycia, wzmagano czujność, przygotowywano kancelarię adwokacką p. **Sianki** (wchodzącą w pewnym sensie w skład mieszkania) na awaryjne przyjęcie nas w razie nie umówionego dzwonka do drzwi (a było drzwi dwoje). Siadaliśmy w niespokojnym podnieceniu do wspólnej nauki, która jednak — szła. Zdarzyło się i tak, że p. Dzina została wezwana na gestapo. O ile pamiętam chodziło m. in. o przedstawienie jej — zwolnionej z pracy nauczycielki gimnazjum — źródeł utrzymania. W tym względzie — myślę — b. dobrym zapleczem była kancelaria adwokacka p. Sianki. Nas ogarniało przerażenie. Przyczajaliśmy się. P. Dzina wróciła do domu. Po pewnym czasie znowu zjawiliśmy się po naukę. Dla zmylenia przeciwnika, gdy zrobiła się „duża wiosna”, otwierano okno w wykuszu pokoju p. Dzin, pani siadała do fortepianu, grała walce Straussa i utwory Lehara, a my w tym otwartym oknie ukazywaliśmy swe radosne oblicza wielbicieli kultury niemieckiej. Lekka, fortepianowa muzyka

towarzysząca przypadkowemu, niewielkiemu spotkaniu towarzyskiemu pobrzmiwała nad ul. Jagiellońską i nad głowami gestapowców stojącym przed restauracją po drugiej stronie ulicy.

Oprócz naszej grupy po naukę do domu pp. Flisów przychodziły też inne grupy. Była tam prawdziwa kuźnia wiedzy. Wszystkie panie były fachowo przygotowane do udzielania jej młodzieży. Podziw musiał wzbudzać zmysł organizacyjny i przemysłowość kierowniczką tych tajnych kompletów p. Dziny, która zapewniała nam razem z siostrami i bratowymi mimo wszystko bezpieczeństwo i komfort uczenia się w czasie tak nieprzychylnym nauce polskiej młodzieży.

Z każdego przedmiotu, z każdej klasy w różnym czasie chodziliśmy zdawać egzaminy do Białego Klasztoru. Terminy podawała p. Dzina. W klasztorze wszystkie sale szkolne i pomieszczenia internatowe zamienione zostały na sale szpitalne dla niemieckich żołnierzy. Pobożnie szliśmy więc do klasztornej kaplicy na modlitwę, a uważnie patrzyliśmy w drzwi zakrystii. (W kaplicy bywali też Niemcy). W drzwiach zakrystii pojawiała się siostra zakonna w białym habicie i na jej znak wychodziliśmy pojedynczo na korytarz. Tam już roztawione były czaty i znikaliśmy w uchylonych drzwiach klauzury. Wspaniałe były siostry egzaminatorki: wymagające a niewymownie życzliwe, udostępniające nam i komisji (cywilnej) obszar zastrzeżony dla ich intymności i kontemplacji. One przechowywały nasze karty egzaminacyjne, by zaraz po wojnie przekazać je Kuratorium Oświaty i abyśmy szybko mogli otrzymać świadectwo ukończenia gimnazjum i bez wielkich strat kontynuować naukę i studia.

W marcu 1943 r. zostałam zaprzysiężona w placówce „Nurt I” AK w Nowym Sączu i po różnych kolejach losu, po aresztowaniu przez gestapo, po pobycie na Montelupich otrzymałam w 1945 r. zaświadczenie–podziękowanie, w którym kpt. **Mieczysław Cholewa** ps. Obłaz napisał, że „...*mimo szykan gestapo nie wydała nikogo*”. Wszystko to, co najlepsze i najpiękniejsze w życiu wyniosłam z domu rodzinnego i serdecznie oddanego swym wychowankom i uczennicom nieocenionego domu pp. Flisów, domu otwartego świata, domu, który jeszcze teraz śni mi się nocą, jakby wielki duch wiedzy dobrego i złego nigdy go nie opuszczał. Została w nim zepchnięta przez komunistyczną gospodarkę lokalową w najciemniejszy kąt schorowana Zosia Flisówna ciągle jednak czynna i w różnych formach oddana młodzieży mimo przejścia na emeryturę.

Przypisy:

W listopadzie 1994 r. po spisaniu tych wspomnień odwiedziłam w Nowym Sączu sędziwą panią Marię (Dzinkę) Flisównę, która po zapoznaniu się z tekstem wspomnień powiedziała mi, kto informował ją o ewentualnych zagrożeniach kompletów

tajnego nauczania w jej domu. Był to ksiądz **Władysław Markucki**. Codziennie chodziła do niego do spowiedzi w kościele oo. Jezuitów i wtedy uzyskiwała informację, czy tajne komplety mogą działać mniej więcej normalnie.

Do grupy licealnej należał też wtedy brat koleżanki Niny **Marian Przełęcki**, obecnie profesor uniwersytetu, znany i ceniony logik.

KLUB LITERACKI „SĄDECCZYNA”

Pomysł utworzenia w Nowym Sączu klubu literackiego skupiającego pisarzy, którzy zdecydowali się swoje życie związać z tym miastem, narodził się już dawno. Temat ten powracał wielokrotnie przy okazji prywatnych spotkań sądeckich literatów, których twórczość niejednokrotnie bardziej znana była w kraju niż w rodzinnym mieście. Wiele wieczorów poświęcono na dyskusje o potrzebie integracji środowiska lokalnych twórców, która dawałaby szansę ożywienia martwego dotąd literacko Nowego Sącza. Inicjatorzy utworzenia Klubu niejednokrotnie mieli też okazję przekonać się, że w mieście nie brak jeszcze nie odkrytych talentów, którymi należałoby pokierować, by po czasie przedstawić nie tylko lokalnemu Czytelnikowi. Pomysł zaczął nabierać konkretnych kształtów jesienią ubiegłego roku kiedy to w nowosądeckim oddziale Stowarzyszenia Civitas Christiana spotkali się literaci zainteresowani utworzeniem w mieście Klubu. Grupę inicjatywną tworzyli: **Marek i Tadeusz Basiagowie, Wojciech Kudyba** oraz **Paweł Szeliga**. Idea spotkała się z przychylnym przyjęciem, szefującego Stowarzyszeniu Civitas Christiana, **Stanisława Pażuchy**, który zadeklarował pomoc przy organizacji spotkań chętnych do zaangażowania się w prace Klubu Literatów. W pracach przygotowawczych doświadczeniem służył także **Leszek Migrała**, redaktor naczelny kwartalnika „*Almanach Sądecki*”. Rozpoczęła się żmudna penetracja lokalnego środowiska twórców zmagających się z trudną materią słowa.

Lokalne media, nagłośniły działania grupy inicjatywnej i zachęciły Sądeczan zarówno tych z dorobkiem twórczym jak i tych, którzy dopiero próbują swoich sił w literaturze, do przybycia na pierwsze spotkanie, które odbyło się 10 grudnia 1996 r. w lokalu Stowarzyszenia Civitas Christiana przy ul. Kard. Wyszyńskiego 3 w Nowym Sączu. Wtedy to dokonano wyboru władz Klubu, przyjęto też nazwę „Sądeckczyzna”.



Bardzo mocno zaznaczono jednak, że nie oznacza to bynajmniej zawężenia twórczości tylko do czysto lokalnej tematyki. Ma ona jedynie służyć geograficznemu usytuowaniu Klubu na kulturalnej mapie Polski.



Ze względu na pokaźny dorobek twórczy (osiem książek poetyckich, a także działalność krytyczna i filmoznawcza) prezesem został wybrany Marek Basiaga, który zaproponował członków zarządu Klubu. Zostali nimi: Stanisław Pażucha (wiceprezes), **Joanna Babiarz-Król** (poetka), Wojciech Kudyba (poeta, prozaik), **Janusz Jedynak** (poeta) oraz Paweł Szeliga (poeta, prozaik). Na pierwszym spotkaniu ustalono także cele i zasady działania „Sądectczyzny”. Jako cel główny przyjęto integrację lokalnego środowiska literatów oraz zdobywanie Czytelników poprzez organizowanie spotkań autor-

skich, działalność wydawniczą oraz szeroko pojętą promocję twórczości literatów mieszkających na Sądectczyźnie. Jako, że do Klubu przystała także grupa poetów, którzy nie mają jeszcze za sobą debiutu książkowego, postanowiono dać im szansę na realizację pierwszej książki. Mają temu służyć wewnętrzne spotkania autorskie oraz indywidualne konsultacje z literatami o znaczącym dorobku twórczym. Przyjęto, że spotkania odbywać się będą w każdy pierwszy wtorek miesiąca. Prócz tego w siedzibie Stowarzyszenia Civitas Christiana organizowane będą wieczory autorskie w celu promocji książek autorów zrzeszonych w Klubie. Pierwsze spotkanie odbyło się 28 stycznia. Swoją tomik poetycki pt. *Dwie drogi* prezentował Marek Basiaga. Wiersze recytował **Adam Kamiński** oraz grupa jego przyjaciół, którzy wiosną br. utworzyli przy Stowarzyszeniu Teatr „Pozzo”.

Miesiąc później Klub umożliwił prezentację Czytelnikowi debiutanckiego tomiku poezji Pawła Szeligi pt. *Umieram każdej nocy*. Trzeci w kolejności poetyckich spotkań z miłośnikami literatury był Wojciech Kudyba promujący swój tomik pt. *Wierność w małej rzeczy*. Na podstawie jego utworów Teatr „Pozzo” zaprezentował spektakl pt. *Zaufać mowie*.

Na wszystkich tych prezentacjach duża sala Stowarzyszenia wypełniona była po brzegi miłośnikami literatury. Nie zabrakło także przedstawicieli mediów, a więc

dziennikarzy prasowych oraz lokalnego radia i dwóch telewizji kablowych, które wyemitowały obszerne fragmenty spotkania poetów z Czytelnikami.

Dużym wzięciem cieszą się wewnętrzne spotkania autorskie, często burzliwe, a zawsze płodne. W ich ramach wiersze swe reprezentowali kolejno: Janusz Jedynak, **Janusz Szot, Paweł Lelito, Agnieszka Jurkowska i Ryszard Drobysz.**

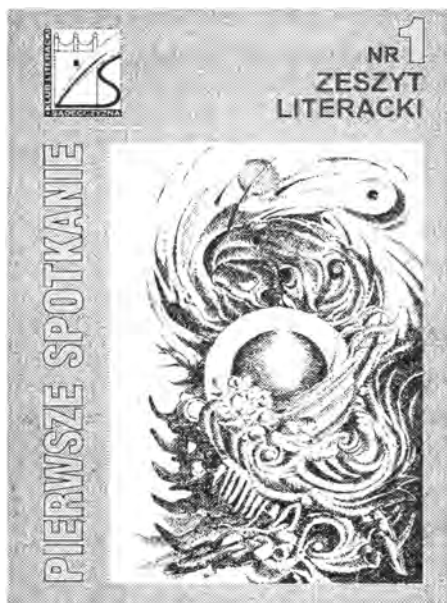
Istotną funkcją klubu jest działalność wydawnicza, która w maju br. zaowocowała zeszytem literackim zatytułowanym *Pierwsze spotkanie*. Złożyły się na niego utwory poetyckie i prozatorskie ponad dwudziestu członków „Sąddeckczyzny”. Przyjęto też bardzo ambitny projekt wydawania każdego roku jednego debiutu książkowego oraz jednej pozycji książkowej poety lub prozaika mającego już debiut za sobą. W tym roku na półki księgarskie trafi spóźniony debiut poetycki Tadeusza Basiagi, zbiorek pt. *Przebudzenie*.

Z kręgu poetów po debiucie prawdopodobnie pod koniec roku światło dzienne ujrzy także druga książka poetycka Wojciech Kudyby.

Nie bez znaczenia dla rangi prowadzonej przez „Sąddeckczyznę” działalności jest fakt, iż zdecydowana większość zrzeszonych tam autorów może się już pochwalić książkami, które zaznaczyły się na literackiej mapie Polski. Książki sądeckich poetów wydawane były m. in. w Warszawie, Krakowie, Lublinie, Kielcach, Piwnicznej i Nowym Targu. Honorowym członkiem Klubu została nestorka literatów działających w Nowym Sączu, debiutująca jeszcze przed wojną,

Władysława Lubasiowa.

Wydaje się, że w przyszłości spośród tych członków Klubu, którzy rozpoczynają dopiero swoją drogę twórczą, ma szansę wyłonić się liczna grupa autorów prezentujących oryginalne dokonania na polu współczesnej literatury polskiej. Działalność „Sąddeckczyzny” nie ogranicza się bynajmniej tylko do wydawania książek wybijających się indywidualnością z kręgu Klubu. Błędem byłoby też skupienie się tylko na promocji własnej twórczości na pieczołowicie przygotowanych wieczorach autorskich, które znalazły już sobie wiernych zwolenników w kulturalnych elitach Nowego Sącza. Członkowie Klubu zamierzają więc mi in. umożliwić Sądeczanom kontakt ze znany-



mi pisarzami z wielkich centrów kultury. Jeśli miasto uzna dofinansowanie literackiej działalności w Nowym Sączu za wartościowe, pewnie wkrótce lokal Stowarzyszenia Civitas Christiana zapełni się poetami tej miary co Krzysztof Lisowski, czy mieszkający od lat pod Gorlicami Andrzej Stasiuk.

Działalność wydawnicza prowadzona przez Klub jest możliwa dzięki jednorazowej dotacji z Urzędu Miasta. Istnieje szansa, że na tej doraźnej pomocy się nie skończy, bowiem w krótkim czasie od powstania „Sądeckich” dokonano ogromnej pracy, która odbiła się głośnym echem w mieście. Miłośnicy poetyckich wynurzeń i precyzji języka ubarwionego oryginalną metaforą przyzwyczaili się już do miejsca, w którym mogą zaspokoić swoje kulturalne potrzeby. W krótkim czasie Nowy Sącz zyskał poważny ośrodek skupiający ludzi, którzy za swój cel wyznaczyli sobie udowodnienie Sądeczanom, że ich miasto nie jest pustynią kulturalną, zaś życie na prowincji, w cieniu Krakowa i wielkich centrów kultury, nie musi wcale oznaczać konieczności milczenia żyjących tutaj twórców.

Władysława Lubasiowa

„KROPKA NA HORYZONCIE” (ARKUSZ POETYCKI)

Kropka na horyzoncie

Lekcja

Temat: perspektywa.

Ta kreska pozioma: horyzont.

*Na tym domniemanym horyzoncie —
kropka.*

*Dwie linie biegnące od niej
prosto*

*do przeciwległych kątów —
to droga.*

*Teraz zaznaczmy ultramaryną niebo
(może być i słońce) ...*

*A ta kropka na horyzoncie to jestem
ja —*

przy końcu drogi mej.

A może początku?

1996

Chwila

*Uchwycić chwilę między nocą a dniem kędy
tonie lęk, a powstaje nadzieja z mórz ciszy,
przetkanych słońca mżeniem zza chmur bladoliczych,
delikatnych jak tiule podarte na strzępy.*

*Pochwycić taką chwilę z ponocnych mgieł przędzy
wybłyskującą jaśnią — jak z cmentarnych niszy
białe lilie kładzione na grobach najbliższych,
gdy ścichnął ból i szlochy żałobne uwiędły.*

*Chwilę olśnienia pięknem przyjąć jako wiatyk
na drogę, co nas wznosi nad świata przełęczę
takie, gdzie krew i błoto, a konają tęcze.*

*To nas chroni, gdy zewsząd grożą zła miazmaty.
To nic, że taka chwila jak nici pajęczę ...
Piękno kwiaty ocala — chociaż wędną kwiaty.*

1996

Sen o prawdzie

*I przyśnił mi się czas siewu,
gdy słowo stało się ziarnem
dla odrodzenia spustoszonych serc.
A słowo było prawdą.
A prawda świeciła jak gwiazda. —
od pierwszej litery alfabetu
do ostatniej kropki nad „i”.
A Klio z księgą w dłoni
strzegła jej oczu szeroko otwartych.
A prawda była naga.
Nie dała się okryć żadnym pożyczonym płaszczem,
gdy krętymi ścieżkami w jej szacie uciekał fałsz.
Nie szukała zemsty za skradzione suknie.*

*Nie wystawiała rachunków.
Tylko po prostu była.*

We śnie.

1996

To gwizdże Witkacy

*Tu krajobraz się zmienia kapryśny jak kwiecień,
z obszarpanych wirsyczków spada w dolin krasę.
Potoki raz się wdzięczą, raz wściekle jak szerszeń —
i wszystko jest niepewne niby życie nasze.*

*A gdy halny łomocze w obłąkanym biegu
i leci ku dolinom przeczesując Tatry —
to gwizdże w nim Witkacy (zanosząc się śmiechem)
na sknocone zakończenie jego spektaklu.*

1996

Zastrzelił się młody

*Zastrzelił się młody.
A może go zastrzelono?
Prawdy nie dociec:
zapadł mrok.*

*nie dzwonił mu dzwon żaden,
orkiestra też nie grała,
nikt przemówień nieszczerych
nie ubierał w żalność:
był i odszedł w niepamięć.*

*Chociaż pisał, i to całkiem niezłe,
także coś o wolności...*

*Ale co pozostaje z gazet przeminionych,
tym bardziej z tej, co padła także
wkrótce po nim.*

*Zastrzelił się młody,
a może go zastrzelono?
Fakt — jest grób i tabliczka
(tylko nie napisano, że umarł tragicznie).
Na spierzchniętym lastriko
nie wdzieczy się kwiat...
Jak ten kamień na szaniec:
był, pisał i padł.*

1996

Bądź zatrzymana

*Bądź zatrzymana czule, ty, której nie było,
miłość w śnie spełniona tylko, nierealnym
objęciem ramion nieistniejących albo już
minionych, oczu obłąkitnieniem
aż do mroków nocy. Jedynie rzeczywista —
choć nieistniejąca w blasku dnia,
okrutnego dla wzruszeń głębokich.
Jesteś jedna, choć wcieleń miałaś kilka
może albo też nie spełniłaś się w niczym
ciele, więc przeszłaś w sen, a ze snu
w wiersz zstąpiłaś, aby nikt nie był samotny
kto sam został w nocy.*

1996

Skok

*Została tylko skała,
z której odpadł człowiek —
i przepaść,
w niej przyroda dokończy roboty.
Mnich kaptur chmur gradowych
zarzucił na głowę,
milczy modlitwą
za konających w locie.
i woda milczy w stawie,
choć jeszcze o świetle
przyjęła ust pragnienie i oczu tęsknotę,
gdy dłonie w niej zanurzył
biorąc ślub z górami,
które mu zgotowały
przez Acheron skok.*

1996

Samotni na szlaku

*„Samotnym na szlaku cześć”.
Idę z Ornaczańskiej do Smreczyńskiego Stawu
i pozdrawia mnie tak, samotny również,
a schodzący już ku dolinie...
Samotna jaszczurka omija
samotną dziewannę zabłąkaną tu,
jakby przypadkiem ktoś wetknął palmę
wielkanocną górom na szczęście.
Samotny ptak przyczepiony do skałki,
samotna dzika róża kwieciem obsypanym —
przemija.
I wiatr samotny zagląda mi w oczy,
właśnie nieostroźnie złamał
samotną limbę
i teraz wyje —*

*bo najwierniejsza jest miłość,
gdy przedmiot miłości nie żyje.*

1996

Zmiana warty

*Okno też było stare:
otworzyła je na oścież
na słońce.
A tam w ogrodzie — istna karuzela
barw i pobrząków:
jeden po drugim kwiatek
wytryska z trawy, wystrzela z gałązki
witany oberkiem pszczoł.
Co roku to samo. I co roku dziwi się,
i musi się uśmiechnąć, choćby sama do siebie,
że są tacy, co nie wierzą w cuda.
A niechże dobrze przyjrzą się,
chociażby na żabi skok od własnego nosa
i portfela,
bo oto co obumarłe było już —
wprzęga się zachłannie do łańcucha trwania.
Przeto
trzeba zrobić i w sercu porządek:
wszyć w chore tkanki rozpaczy
rozzusznik nadziei.
Więc na pierwszy ogień ci, co pod szkłem
na etażerze —
z tym uśmiechem sprzed pięćdziesięciu lat.
Pora, moi ingiś piękni,
do wspomnień lamusa.
I w puste już ramki wkłada
ślubną fotografię wnuka.*

1996

Szyny torów zapomnianych

Nawet szyny mają wspomnień blask, ten złom
zapomniany na szlakach umarłych już.
Przez noce puste jak dłonie po wszystkich
rozstaniach, słyszą rozpadłych parowozów gwizd,
widzą światła wagonów pędzących do
stacji, które zmiotły nawały wojennych burz.
Butwiejące żebra progów perz porasta i
oset, wargi spierzchnięte kaleczy rdza —
a kiedyś srebrem lśniły całowane
dzień w dzień przez koła pociągów pospiesznych.
Dziś nie mają pragnień, jak wszyscy zgnieceni
przez los. I tylko czasem gorzką nocą jeszcze
śni im się tamten czas, gdy dziewczyny przy
rampach czekały, aż ze świata pojawi się
ktoś, co je wyrwie z nudy spleśniałych opłotków.
I wśród sierpnia, gdy dokwita bodziszek,
coś w szkielecie tego toru zapłacze,
bo bodziszek jest tak smutnie niebieski
jak te oczy porzuconej dziewczyny,
co tu kiedyś pod pospieszny sfrunęła jak ptak.

1996

Dusza Anacapri

Białym skrzydłem willi Axel Munthe
leci w niebo dusza Anacapri.

Połyскуje falą opalową,
zakochane w Lazurowej Grocie,
niebo z morzem zmieszane przyziemnie.

Więc się tworzy: zgubiło jaśń Bożą,
by tu wędnać wśród skał Faraglioni,
kiedy miało mi drogę otworzyć

do dziedziny światłości przedwiecznej!

*Zapłakała: o, święty Michale,
po co niebo zeszło w wód odmęty?
Ciężko mi, jakbym lotki zgubiła,
a została tylko marmuru biel.*

*I strudzona, po schodach fenickich
wraca do cyprysów San Michele.*

1996

Spowiedź umierającej róży

*Spowiadam się sufitowi niebieskiemu nade mną,
bo odebrano mi niebo.
Byłam prostytutką nie z własnej woli,
sprzedano mnie.
I nawet przypitowano kolce,
choć już nie miałam zamiaru się bronić —
bo zaimponował mi kryształ,
w którym miałam przez chwilę uwielbianą być.*

*Życie moje było krótkie,
ale w paku nie wiedziałam o tym:
wabił mnie świat przepychem barw.
Raz odwiedził mnie motyl,
byłam wtedy jeszcze bardzo młoda,
lecz pojęłam szybko, że mogę się podobać,
gdy mnie całując skrzydłami ogarnął...
Jednak nie miałam ochoty zbiec z kimś,
kto nie miał nic oprócz skrzydeł...
Chciałam jak inne srebrną wstążką błyszczeć.*

*Spowiadam się
chmurom, które umierają bez sensu jak ja,
odbite w tym kryształach jak w lustrze.*

*Nie szukam wykrętów ani wymówek —
i mam już tylko jedną chwilkę na żal.
Na poprawę już nie mam czasu...*

I opadł ostatni płatek.

1997

Tamte groby

*Złocięń
na skałkach nad Kamienicą...
Idę wyżej,
tu leżą dwaj młodzi, potknęli się
w swych partyzanckich biegach:
granice przeszli nieraz, nie dwa —
a tutaj...
Koniec.*

*Kiedy zaś zaczęto płacić za wolność
(różnie różnym),
nie ruszono ich dla parady na pokaz —
to i dobrze,
bo taki tu święty spokój.*

*Tam zaś, gdzie leży Ewa i inni
zabici w apokaliptyczne dni
(ekshumowani w środek miasta),
zwykle przed Świętem Zmarłych
uczniowie,
dżinsowi chłopcy i dziewczęta,
wyznaczeni sprzątacze na czas ów,
ochoczo omiatają groby
z liści brzozy płaczącej —
a przecież to są jedyne łzy,
które jeszcze padają tu.*

1996

Nie opuszczaj mnie melodio

*Nie opuszczaj mnie melodio —
echem biegnąca przez kwitnący sad,
klękająca przed kapliczką modlitwą dziecięcą,
gdy wiejski biedak na organkach grał —
Niebu i ziemi.*

*Nie opuszczaj mnie melodio w czas miodny i pszczeli
nadzieją tętniący. I w czas opadania złudzeń
w kałuże jesienne. Przetykana głosem dzwonów
pogrzebanych w rzece — a zmarłych powstających na
Anioł Pański.*

*Nie opuszczaj mnie melodio —
ostoję przerażonych mgłą
w porze zachodu człowieczego losu,
kiedy zmierzch czernią na oczy się kładzie
i gwiazda wieczorna jeszcze niewidoczna.*

*Nie opuszczaj mnie melodio:
wszystkie nasze ziemskie sprawy
przyjm litośnie...*

1996

Przywołuję cię morze

*Przywołuję cię, morze,
jak mężczyznę którego nie ma sensu kochać,
ale o urodzie, którego nie można zapomnieć.
Morze tak ciemnozielone, że aż czarne —
jak przepaść, która wydaje się bez dna,
bo nie dociera do niej żaden słońca promień.
Morze w naszyjniku skał, przełamanym nagle
zatoką wbijającą się w ląd jak sztylet,
choć ze stali wzięła tylko barwę.*

*Wiem, nie zobaczę cię więcej.
Nie zanurzę już dłoni w fale,
by złowić naręcza wodorostów,
które twojej głębi ukradły przejrzystość.
Nie będę ranić stóp bosych
o konające muszle na wybrzeżu.
Kiedyś podniosłam taką największą
i zachowałam jak fotografię z cudzego wesela.
I teraz w każdą noc bezsenną
śpiewa mi requiem,
kiedy kochanie jedno po drugim umiera.*

1996

Topola

*Gdy miałam lat osiemnaście trzymałam „do chrztu”
topolę,
przed cudzym, drogim mi domem.
Rozbawieni świadkowie tego wydarzenia
klaskali, na kamiennym stole pod lipą
brzękły kieliszki.
Śpiewano naszą narodową pieśń:
„sto lat”.
Mężczyzna, który mnie kochał, jak się kocha
młodość, podał mi purpurową różę
zerwaną z klombu.
Wino było purpurowe też.
Trochę z odcieniem czarnym
jak krew krzepnąca na ranie.
To porównanie podsuwa mi myśl
o wojnie, która stała za progiem o krok.
Minęło lat ileś tam...
Lepiej nie przywoływać liczb.
Przypadkiem z wycieczką
zawadziłam o tamten kraj.
Tak. „Tamten kraj”, bo zdołano już granicą*

oddzielić wczoraj od dzisiaj.
Ktoś powiedział: szedł front i spalił się dom,
tylko topola pozostała —
jak krzyk,
którego nikt nie słyszy.

1996

Ballada

dziecko siedziało na schodach,
jadło zacierki na mleku,
schody były sklecone z piaskowca,
więc czas kamień wykruszył tu i tam...
Sierpień dom jak choinkę stroił,
nizał gwiazdy na ostrewki po sianie,
dziecko zaś marzyło dziecięco
nad razowymi kluskami.

A talerz chybotął na kolankach stromych,
a mleko po schodach bielilo się mlecznie
z kamienia na kamień, do jamy w kamieniach.

I wtedy z ciemności, z głębi tajemnicy,
wypełznął wąż.
Doprawdy — był to zwykły zaskroniec,
lecz dziecko na jego głowie widziało koronę:
ach, to pewnie zaklęty królewicz!

A wąż ostrożnie (gdzież to męstwo?)
do białej strużki mleka podpełzał...

Wtedy ktoś z okna w krzyk:
a kysz, gadzino, a kysz!
I czar przysł.

*Życie nie jest bajką —
jak mówi znane porzekadło.*

1996

Ostatnie słowo

*Pieśniarz, który przyszedł z ostatnim słowem,
po przebyciu wielu dróg i już u końca
ostatniej drogi —
przyszedł w porze,
kiedy wszyscy odwrócili się —
spiesząc do swoich bardzo ważnych spraw.*

*Właśnie słońce zatrzymało się na chwilę
przed zachodem —
i była wielka cisza, jaka powinna być
do wysłuchania ostatniego słowa.
Nawet mdłe jesienne kwiaty
uniosły głowy,
nawet ptaki opóźniły odlot
i mgła przysłoniła krzykliwe usta miasta.
Tylko ludzie odeszli —
i nie było nikogo
kto by dosłuchać chciał.*

*Wtedy pojął,
że słowem ostatecznym
milczenie
przypisane jest.*

1996

OPOWIADANIA

Mój dziadek

Mój dziadek nie mógł poruszać się w przestrzeni samodzielnie i może dlatego tak swawolił w czasie. Wchodząc do jego pokoju nigdy nie byłem pewien, czy jest on jeszcze urzędnikiem Franciszka Józefa, czy już legionistą Piłsudskiego. Najczęściej trzymał w ręku kij pomarszczony i ściemniały jak jego skóra, pamiętający „cud nad Wisłą”. Kula przeszła nad kędzierzawą głową i gałąź przejęła śmierć dziadka. To ich złączyło. Z tamtych czasów pozostały mu tylko oczy, młode i zawadiackie, nie pasujące do włosów i długiej brody, na której już dawno osiadł śnieg. W pochmurne dni oczy dziadka nabierały magicznej mocy. Nobilitowany kij kręcił w powietrzu wojenny taniec. Nieprzyjacielski mrok musiał ustąpić. Oczy rzucały wesole, pełne podziwu spojrzenie na zwinną, zwycięską rękę. Również generalska broda drapała się z uznaniem. Dziadek zawsze mawiał, że chciałby mieszkać na ostatnim piętrze wieżowca, skąd mógłby ocenić walory strategiczne najbliższej okolicy. Budować fortyfikacje i okopy, z których podrywałby żołnierzy do walki.

Tak go zapamiętałem. Otoczonego bielą, której czystości nic nie mogło zbrukać, błyszczącą jak jego oczy, czy szabla w czasie szarży na pozycje wroga. Teraz ja mieszkam na dziewiątym piętrze wieżowca, ale zamiast umocnień widzę bzdurne sąsiednie bloki. Dziadku, napisałem już tyle podań o miłość i sens, ale nie uzyskałem pozytywnej odpowiedzi, a brak mi odwagi na szturm. Dziadku, ta wysokość należała do ciebie, może z niej skorzystam.

Lustra

Nie był to twój pierwszy urlop, ale ten czas przełomu lipca i sierpnia ... dziwny. Nie mogłeś zrozumieć czemu lipiec kojarzy ci się z mężczyzną, a w sierpniu dostrze-

gałęś tyle kobiecości. Przecież powinno być na odwrót. Może sierpień przypominał kobietę, która wydała cię światu — pamiętasz: była zanurzona w zbożu. Niewielka, nawet z bliska robiła wrażenie chłopca. Jedynie ubiór i ta, w kolorze lipy, chusta czyniły ją dziewczyną.

Przyjechałeś pełen witalnego animuszu. Ośrodek w lesie — do morza niedaleko. Szybko oceniłeś sytuację. Czterech, no, może pięciu konkurentów, a kobiet, z którymi warto, kilkanaście. Szedłeś na pewniaka. Nigdy nie lubiłeś się przemęczać, ani ryzykować. Dlaczego zatem zaryzykowałaś? Widzisz tę ławkę. Byłeś sam pośrodku alei. Czy było to przeznaczenie? Rozejrzałeś się wokół siebie. Dwa jasne punkty po przeciwnych stronach. Dwie takie same kobiety. Ten sam wzrost, ruch, wygląd. Zbliżały się powoli. Bardzo późno spostrzegłeś, że osoba po prawej stronie nie jest jednak kobietą. Ciężkie cienie drzewa zakrywały rysy. Czy były doskonałe? Przerzuciłeś wzrok na drugą postać. Wydało ci się, że jej usta drgają lekko słowem. Uśmiechnąłeś się, a ona odpowiedziała. Wstałeś. I w tym momencie przez mgnienie oka byliście na tej samej linii — wszyscy troje. Poszedłeś z tą, która dała znak niedosłyszczanymi słowami. Czy tak musiało być? Teraz wiesz, że tak. Czy chciałbyś coś zmienić?

W tę noc nie słyszałeś żadnego szelestu, nawet szum morza był poza twoim światem.

Była cudowna, wyczuwała każde twoje pragnienie, niczego nie broniła. Stałeś się panem jej ciała i jej rozkoszy. Jednostką doskonale zintegrowaną i mającą władzę. Czy teraz czujesz to samo? Przebudziłeś się, gdy dnia nie dało się już powstrzymać, przebijał się coraz śmielej przez okna. Twarz taka piękna, ale ... Jak wyczułeś, że to nie ona? Oczy, włosy, usta, skóra, wszystko jej, a przecież był to On. Człowiek, nad którym nie mogłeś panować. Bałeś się, ale pragnąłeś dotknąć, pieścić jego ciało. Kochałeś go. Ocknął się. Należałeś do niego, oddałeś się całkowicie.

Nie po raz pierwszy drażnił cię tłum, ale teraz zacząłeś się go obawiać, że dojrzy zmiany. Zmieniałeś się? Lustro mówiło, że tak. Zacząłeś unikać ludzi, zaszuwać firanki przed światłem naturalnym. Wybrałeś sztuczność. Czy lustro było tobą? Odebrało ci twoją męskość. Zniknęły wąsy, a przecież czułeś, że je masz. Zgoliłeś je, chciałeś być taki sam jak odbicie, ale było to niemożliwe. Za każdym razem zarost pojawiał się ponownie. Czemu ciągle wracałeś do odbicia, które kłamało? Tydzień temu twoje oczy zauważyły w odbiciu kobietę. Wyciągnąłeś ręce, które przeniknęły świat. Dotykałeś siebie, nie siebie. Kochałeś się z sobą, nie z sobą. Odbicie stało się brzemienne tobą. Urodziło cię.

- Mamo, jestem bardzo głodny, bardzo spragniony.
- Chodź. Nie wgryzaj się tak. Rozbijesz! Matkobójco!
- To moja krew. Gdzie twoja, matko!?

Mucha

Jeszcze żyję. A może to tylko jakieś złudzenie lub nieznana forma przejściowa. Muchę zmiażdżyłem. Ale co ze mną?!

Obudziłem się około dziewiątej. Jak zwykle w niedzielę nie było wiele do roboty i mogłem dłużej pospać. Odśloniłem firanki. Mój wzrok zamiast przebić się przez szyby i objąć nieskazitelnie czyste niebo, powędrował w dół, na muchę. Tak, na muchę. Niby nic niezwykłego, a jednak był to widok, który mną wstrząsnął. Mucha była rozczłonkowana. Nogi, skrzydła, odwłok i głowa leżały na parapecie tworząc symetryczną kompozycję. W dzieciństwie często wyrwałem złapanym muchom nogi, ale tylko nogi. Mogłem być jeszcze brutalniejszym i zabić złapanego owada. Dokonując tego pierwszego zabiegu prosiłem ją, aby poleciała do swego króla i przekazała mu, że już nie skrzywdzę żadnego przedstawiciela ich rodu, jeżeli obdarzy mnie specjalnymi rzeczami lub zdolnościami. Cóż! Dzieciństwo miałem ciężkie, a tak pragnąłem mieć zabawki lub rower. Na drugą czynność — zabicie muchy — zdobyłem się po kilku dniach, gdy moje prośby nie zostawały spełnione. Gusta te powtarzałem, ale bez rezultatu.

To wspomnienie przebiegło mi przez głowę w pierwszej chwili. Następna sekunda przyniosła wstrząs jeszcze większy. Mucha żyła. Jej nogi drgały jak w agonii, skrzydła chciały poderwać się do lotu i byłem pewien, że w głowie i odwłoku tli się życie. Dobitem ją, miażdżąc palcem całą tę żywą konstrukcję jakiegoś sadysty. Właśnie sadysty. Ale kto to mógł być i jak się dostał do tego mieszkania. Drzwi były zamknięte, okna też. A więc jak.

Początkowo czułem się dobrze, normalnie, nawet udało mi się zapomnieć o musze. Dopiero ten potworny ból w barkach, w pachwinach i w szyi. Czułem, że coś mnie rozrywa. Odpadła głowa i kończyny. I już tylko obraz muchy miażdżonej przeze mnie tkwił mi w oczach.

Tylko kto mnie, kto mnie dobije?

Odkamienienie

Szpital, szpital psychiatryczny to jedyne miejsce, gdzie Bogów, świętych sprawadza się do poziomu człowieka. A ja byłem kamieniem, górską wantą odbijającą się w toni Morskiego Oka. Teraz od połowy jestem odkamieniały. Tylko dolna część, od pasa w dół, zachowuje cechy kamienia. Byliśmy na wycieczce w Tatrach z zakładu pracy. Po raz pierwszy ujrzałem ogromne turnie skalne, potężne głazy i postanowiłem wśród nich pozostać. Nie zgłosiłem się w punkcie zbornym. Ponoć mnie szukano. Schowałem się w lesie i nocą wyszedłem z ukrycia i przytuliłem się do wielkiego kamienia, przypominającego mi matkę. I tak zastygłem, stałem się kamieniem. Tyle

moich braci tu było, małych i dużych. Czułem swą twardość, szorstkość, nieprzeniknioność. Któż z ludzi może zrozumieć kamień. A mnie na siłę zabrano z mojej rodziny i przewieziono do szpitala, choć chciałem być tylko szczęśliwy. Na różne sposoby próbowano we mnie, w kamieniu wykuć człowieka. Stosowano elektrowstrząsy, wstrzykiwano trzy razy dziennie psychotropy, a ja dalej pozostawałem skałą. W końcu, znużony otoczeniem, nieciekawymi murami, od których czułem się o wiele szlachetniejszy, postanowiłem porozmawiać z moimi prześladowcami i przekonać ich, by mnie zostawili w spokoju i odwieźli z powrotem do doliny Rybiego Potoku, gdzie mógłbym stać i walczyć z odwiecznym wrogiem skał — naturą. Niestety, oni potraktowali to moje częściowe odkamienienie jako swój sukces, a ja nie mogłem na powrót stać się tym, kim byłem w tym miejscu. Nieszczęśliwy, z zazdrością patrzyłem na swą dolną część ciała, która jeszcze zachowała cechy kamienia. Ale czułem, że i ona powoli traci swą naturalną strukturę i zaczyna nabierać cech ludzkich. Wpadłem w depresję. I znów iniekcje i doustne tabletki miały przywrócić mi radość życia. Nikt jakoś nie był w stanie zrozumieć, że utraciłem ją na zawsze. A może nie na zawsze? Może uda mi się na powrót stać głazem. Humor mi się poprawił. Godzinami planowałem, że znajdę gdzieś w Tatrach miejsce odludne, gdzie będą królowały skały i tam wśród nich powtórnie stanę się kamieniem i zostanę nim na zawsze. Od tego czasu mój stan zdrowia — zdaniem lekarzy — stawał się coraz lepszy i w końcu już mogłem chodzić jak zwyczajny człowiek. Zatrzymano mnie jeszcze miesiąc w szpitalu, aż zostałem z niego wypisany. Nikomu nie zwierzałem się z moich planów i tęsknot, nie wyobrażałem sobie nawet, aby ktokolwiek mógł mnie naprawdę zrozumieć. Chciałem ponownie stać się kamieniem. Jakie to dziwne, że nikt tego nie mógł pojąć. Ponoć w każdym kamieniu ukryty jest człowiek. Ja jednak uważam, że warto pozostać niewykutym kamieniem.

Anna

Po raz pierwszy usłyszałem ten Głos w sobotę. Był bardzo cichy, stłumiony, z nutą ciepła i delikatności.

— Jestem Anna — zabrzmiał Głos.

Przeląknęłam się, bo jakież Anna mogła stać nade mną w łazience, akurat w tym momencie, gdy się goliłem. Pomyślałem, że to Głos z radia, albo z podwórka lub od sąsiadów zza ściany i nie zainteresowałem się Nim specjalnie.

Minęło kilka dni, gdy znów, tym razem wieczorem, gdy kładłem się spać, usłyszałem ten sam Głos.

— Jestem Anna. Anna. Anna — powtarzał głos jak echo wzbudzone przez czyjąś natarczywość



Wydawało mi się, że poczułem łagodne muśnięcie ciepłego powietrza na twarzy. Nie byłem na tyle śpiący, aby przypisać ten Głos sennym omamom. Zapaliłem światło, jednak w pokoju nikogo nie było. Byłem zdrowym mężczyzną na ciele i umyśle, w pełni sił, nie tłumaczyłem więc tego jakimś chorobliwym urojeniem, jak również sztuczkom technicznym. Ten Głos stał się dla mnie faktem. Czekałem całą noc, czy ponownie usłyszę Go. Bezskutecznie.

Następnego dnia, po powrocie z pracy, gdy zjadłem skromny kawalerski obiad, usłyszałem ponownie głos Anny. Jak zwykle powtarzający tylko dwa słowa: „Jestem Anna”.

- Jestem Janusz — powiedziałem.
- Jestem Anna — zabrzmiał Głos.
- Możesz powiedzieć coś więcej? — spytałem.
- Jestem Anna, Anna — odpowiedział Głos.

Modulacja tego głosu podziałała na mnie w sposób równie fascynujący, co zaskakujący. Poddałem się Mu. Poniósł mnie w krainę, w której do tej pory nie było śladu człowieka. Doznałem uczucia tak wielkiej przyjemności, jakiej na próżno szukałem w ramionach tyłu kobiet. Od tej pory żyłem z Anną. Tak, żyłem z Nią, choć był to Głos, ale dla mnie miał on powab cudownie pięknej kobiety. Falujący ton Głosu ukazywał to napełniające się powietrzem piersi, to znów łono kobiety w drgawkach orgazmu. W tych zakamarkach dźwięku nie brakło również innych, wizyjnych dla mnie wibracji ciała. Z nadzieją czekałem na każdą chwilę, w której Głos się pojawi. Zaspokajał wszystkie moje potrzeby, stał się dla mnie codziennością i świętem, wielką przygodą intelektualną i wspaniałą podróżą. Wszystko się w Nim zawierało.

To nic, że mój słuch przestał odbierać inne dźwięki. W tych słowach „Jestem Anna” mieścił się cały wszechświat, którego jesteśmy częścią.

Wziemiowstąpienie

Mego dziadka ze strony ojca pamiętam tylko z wczesnego dzieciństwa. Pierwszym utrwalonym w pamięci jego obrazem, który teraz najczęściej mi się nasuwa, jest jego postać przechadzająca się po polu, podparta laską, z nieodłączną fajką w ustach. Wydawało mi się wówczas i teraz też jestem tego zdania, że dziadek tak kochał ziemię, iż z biegiem lat, gdy coraz bardziej ją rozumiał i czuł, stawał się w sensie fizycznym jej coraz bliższy. Rzeczywiście, pochylony był bardzo nad nią i mówiłem sobie, że z nią rozmawia, że opowiadają sobie swoje losy. Dziadek pewnie mówił ziemi, jak to jego ojciec przez hazard i kobiety utracił odwieczną ojcowiznę (o tych wydarzeniach krążą do dziś w rodzinie legendy) i o tym, jak musiał wyemigrować do Ameryki, by odzyskać to, co utracił. Przez ciężką pracę, gdzieś w kopalniach węgla

Pensylwanii. Ile wysiłków włożył w to, by ziemia odwdzięczyła mu się obfitym plonem, a nieraz zdarzały się okresy suszy lub powodzi — kiedy z rodziną przymierał głodem. Pamiętam, że zawsze o zmierzchu lub wczesnym świtem wychodził na pole i przez długi czas błędził po nim, pykając swą fajkę. Często brał do ręki grudkę ziemi i podnosił do ust. Mówił mi nieraz: „nic nie ma lepszego od ziemi”. Muszę powiedzieć, że nie rozumiałem, dlaczego widzi we mnie przyszłego dziedzica i przyszłego gospodarza jego włości. Opowiadał mi, gdzie trzeba siać i jak się opiekować tym, co natura może wydać i jak można wyciągnąć z tych darów należyty zysk. Było to wtedy dla mnie tajemnicze i niezrozumiałe, ale dziadek z wyrozumiałością kiwał głową i snuł dalej wątek o wykopkach i oziminnie. Ale ja najbardziej lubiłem przebywać w stodole, gdzie razem z braćmi i siostrami urządzałyśmy najdziksze zabawy na słomie. Wychodziło się najwyżej jak było można i skakało w dół, zagrzebywało się w niej lub bawiło wozem. Lubiłem też kurnik i stajnię. Często podkradałem jajka, a w stajni patrzyłem jak się doi krowy i jak koń je siano. Często zatem przebywaliśmy na wsi. Chwile tam spędzone należą do najszczęśliwszych w moim życiu. Aż pewnej jesieni, gdy jabłka w sadzie były tak dojrzałe, że rozpuszczały się w ustach, dziadek przestał wychodzić na swe codzienne spacer. Leżał w łóżku i nie mógł wstać. Na początku jego choroby przychodziłem do niego i brałem za ręce, i mówiłem, że go podtrzymam, gdy pójdzie ze mną na spacer po swym gruncie. Dziadek tylko uśmiechał się do mnie, gładził ręką po głowie, aż kiedyś powiedział, że jemu czas do ziemi. Nigdy bardziej nie rozumiałem dziadka niż wtedy. Czułem, że ziemia jest dla niego najbliższą osobą, jest jak moje ulubione ciastko, które chce się mieć w buzi, ale ziemia była za duża, by dziadek mógł ją pomieścić w ustach, więc to ona chciała mieć go w sobie. I kiedyś usłyszałem w domu, że dziadek jest już w ziemi. Często i długo wyobrażałem sobie, jak ziemia zawołała go przez okno, gdyż wychodziło ono na tę część pola, po której najbardziej lubił się przechadzać. I dziadek wstał ze swego łóżka i poszedł do niej, a z każdym krokiem był coraz bardziej nad nią pochylony, i coraz głębiej wchodził w nią nogami, aż w końcu zrównał się z jej powierzchnią. Wiedziałem, że znajdę to miejsce, w którym dziadek połączył się z ziemią. Gdy po pewnym czasie pojechaliśmy na wieś, chodziłem po tym polu, które dziadek tak ukochał i znalazłem to miejsce, gdzie już nie tylko była ziemia, ale i on. I położyłem w tym miejscu kwiaty, które wcześniej zebrałem na łące. Od tej pory kładę tam kwiaty, choć nieraz rosną tam zboża, czy ziemniaki i rozmawiam z grudkami ziemi i z dziadkiem, który tak ją ukochał, że pragnąc być z nią wziemiowstąpił.

Zniknięcie

Nie pamięta już, czy było jasno, czy ciemno. Czy za oknami toczył się codzienny

świat, czy też stało się coś niezwykłego. Pamiętam tylko, że siedziałem. Nie, leżałem na łóżku. Tak, na pewno leżałem i to co się działo obok, nie miało wpływu. A może jednak ... Nic z tych chwil nie pozostało, poza tym pierwszym zdziwieniem. Teraz, gdy próbuję opowiedzieć tę historię, która przecież zadecydowała o moim życiu, nie jestem niczego pewien. Jednak spróbuję. Dla kogo — nie wiem. Może ktoś istnieje tak jak ja, bo przecież istnieje. Czuję to. Mówię! Głośno mówię. Posłyszają!?

Leżałem na łóżku, starając się usnąć. Byłem w ubraniu, nie przykryty. Chyba więc nie była to noc. Jednak sen nie przychodził i myśli błądziły gdzieś daleko. Nagle poczułem jakąś dziwną lekkość w nogach. Podniosłem jedną z nich do góry i wydało mi się, że nie mam stopy. Spojrzałem szybko na nią i rzeczywiście, nie miałem stopy. Również druga noga była jej pozbawiona. Pomyślałem, że usnąłem, bo nie czułem bólu, ani też krwi nie było. Uszczypnąłem się. Poczułem. Uderzyłem się mocno w twarz i również poczułem ból i smak krwi na rozbitej wardze.

— To niemożliwe — krzyknąłem. — Oszalałem. Jestem wariatem.

Starąłem się za wszelką cenę uspokoić, ale proces znikania nie skończył się na moich stopach i dosięgnął kolan, co mnie doprowadziło do furii. Dźwignąłem się i dotknąłem pustego miejsca pod kolanami. To nie był tylko omam wzrokowy, gdyż moja ręka trafiła na próżnię, a pod nią było moje łóżko.

— To niemożliwe, niemożliwe — wyłem.

Proces znikania postępował dalej. Nie miałem już nóg, nawet ich nie czułem. Z przerażeniem patrzyłem jak centymetr po centymetrze znikam, aż zniknąłem zupełnie.

— Tak wygląda śmierć — pomyślałem.

Czułem jednak, że żyję, że istnieję. Zacząłem się modlić i prosić Boga, żeby wyrwał mnie z tego stanu. Na próżno. Od tamtej pory, ciągle na nowo, rekonstruuje to wydarzenie. Może znajdę punkt zaczepienia. Coś, co pozwoli mi odbudować moją cielesną powłokę. I krzyczę, krzyczę, ile tylko mam siły, że jestem tutaj. Ale, czy ja naprawdę krzyczę!?

Wodna opowieść

Należeliśmy do jednej paczki. Byliśmy nierozzerwalnie ze sobą związani. Cała nasza trójka pochodziła z tego samego miasteczka. Krzysiek, Andrzej i Mariusz to właśnie my. Andrzej właściwie nie urodził się w naszym mieście. Przyjechał do nas z Krakowa, jego rodzice przenieśli się tutaj gdy miał 6 lat. Wszyscy spotkaliśmy się w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Po różnych perypetiach, chociażby tym, że już na drugi dzień roku szkolnego pokłóciłem się z Krzyśkiem i pchnąłem go na

szybę, za którą znajdowały się eksponaty zwierząt z plasteliny, porozumieliśmy się. Chociaż Krzysiek wybił głową szybę, a ja biedny dostałem do razu dwie dwójce; jedną z zachowania, a drugą z języka polskiego. Do dziś nie rozumiem, czemu właściwie z polskiego, ale i na tym się nie skończyło, musiałem przyjść z ojcem do wychowawczyni, co oczywiście kosztowało mnie solidne lanie. Ale nasz wspólny los był nam chyba pisany, gdyż żadne nawet zdawałoby się definitywnie niszczące przyjaźń sprzeczki kończyły się pełnym pogodzeniem, może dlatego, że tym, co nas łączyło naprawdę była woda. Zamiłowanie do przebywania w niej, na niej lub przy jej brzegach. Koledzy śmiali się z nas i żartowali, że nam w żyłach zamiast krwi płynie woda. Każde chwile wolne od zajęć i oczywiście węgry spędzaliśmy nad nią, a byliśmy w ucieczkach ze szkoły rekordzistami. Muszę powiedzieć, że mamy to szczęście, że nasze miasto położone jest nad dwoma niewielkimi jeziorami i że przez nie płynie rzeka, tak że problemu z dostaniem się nad cichą wodną toń w ogóle nie było. Ze szkoły do pierwszego z jezior mieliśmy około 10 minut drogi, do drugiego, które było już na obrzeżach miasta niewiele ponad godzinę. Z domów tyle samo. Nikt z nas nie był chyba tak blisko niej jak Andrzej. Ponoć nawet nocami uciekał z domu, by patrzeć na gwiazdy i księżyc odbijające się w niej jak w lustrze. Andrzej był naszym przywódcą. On wymyślał najciekawsze zabawy w wodzie, wpadł nawet na pomysł, w który początkowo obaj z Krzyśkiem żeśmy powątpiewali, a mianowicie chodziło o zbudowanie tratwy — ale dopieiliśmy swego. Była to naprawdę katorżnicza praca, a efekt nie bardzo nas zadowolił. Zresztą już w chwili budowania wiedzieliśmy, że będzie ona zbyt mała, ale gdy w końcu zwodowaliśmy ją, radości było co niemiara. Pływaliśmy na niej na zmianę. Wszyscy chłopcy, nawet ci starsi, nam jej zazdrościli, aż w końcu, chyba przez tę zazdrość, zniszczyli. Dzięki Andrzejowi szybko nauczyliśmy się pływać, a później zdobyliśmy żółte czepek. Teraz, gdy siedzę nad brzegiem naszego ulubionego jeziora, wysłuchując odwiecznego szmeru, chcę dosłyszeć w nim głos Andrzeja.

Pewnego razu, gdy staliśmy nad jeziorem i nasze ciała odbijały się w nim, ktoś chcąc zrobić nam kawał i ochlapać nas rzucił dość sporym kamieniem. Obaj z Krzyśkiem odskoczyliśmy i ruszyliśmy w poślizg za żartownisiem. Tylko Andrzej pozostał w tym samym miejscu i patrzył w wodę. Powiedział mi później, że widział jak jego odbicie rozpuściło się w niej. Odtąd Andrzej był pochłonięty tajemniczą i nonsensowną, tak mi się zdawało, ideą. Spytał mi się kiedyś, czy człowiek mógłby rozpuścić się w wodzie. Andrzej był tak dobrym pływakiem, że przez wiele godzin mógł utrzymać się na jej powierzchni, ale rozpuścić się w niej ... Nie rozumiałem go wówczas, myślałem, że żartuje. On jednak wiedząc, że w nas nie znajdzie zrozumienia, a skoro nie w nas, to chyba w nikim innym, oddalił się od naszej paczki. Niby wszystko było po dawnemu, ale dało się wyczuć, że coś nie gra. I pewnego razu pod wieczór, gdy

deszcz ustał na tyle, by można było wyjść na dwór, poszedłem do niego. Nie zastałem go, więc pomyślałem, że pewnie jest u Krzyska. Jednak był sam. Poszliśmy go szukać. Deszcz znów się wzmógł. Poszliśmy nad jezioro w nasze ulubione miejsce. Znaleźliśmy ubranie Andrzeja, nawet jego spodenki kąpielowe. Robiło się już ciemno, wtem Krzysiek krzyknął: — Jest tam. Wydało nam się, że Andrzej jakby się rozpyłył w wodzie. Zajmował nienaturalnie dużo miejsca na jej powierzchni i wówczas przypomniały mi się jego słowa. Zaczęliśmy krzyczeć: — Andrzej, Andrzej — lecz on jak zawsze dopiął swego. Ciała, byłem tego pewien, nie znaleziono. I teraz, gdy jestem na naszym miejscu i przysłuchuję się gwarzeniu fal, zda mi się, że słyszę słowa: „Mariuszu, ja żyję i jestem szczęśliwy”.

Ojcym

Mój ojciec umarł, gdy miałem zaledwie siedem lat. Byłem jednak już na tyle duży, by zrozumieć tę stratę. Pamiętam go, jak bawił się ze mną, jak zabierał do lasu lub nad rzekę. Był dla mnie zawsze bardzo dobry tak, że nigdy nie pogodziłem się z tym, gdy matka wyszła za mąż powtórnie. Jej nowym mężem, a mym niby nowym ojcem był człowiek nieciekawy, pozbawiony nawet namiastki uczuć do mnie. Nie rozumieliśmy się już od początku i z wrogością patrzyliśmy na siebie. Przez wiele lat ciągle myślałem o mym prawdziwym ojcu, którego nic i nikt nie miał mi zastąpić. Matka łagodziła konflikty między nami. Naprawdę szczęśliwy czułem się tylko wtedy, gdy byłem z nią sam na sam. Nie potrzebowaliśmy więcej nikogo innego, ale matka mówiła, że co się stało, to się już nie odstanie. Może moja wrogość powinna się też przejawiać w stosunku do niej. Tak się jednak nie stało. Kochałem ją. Między mym ojczymem a mną trwała ciągła walka o jej względy i to ja najczęściej brałem w niej górę, co potęgowało niechęć w stosunku do mnie mego przybranego ojca, zresztą z wzajemnością. Lata mijały i narodziła się we mnie myśl, by go zabić. Tak, zabić. Nie mogłem powstrzymać się od natręctwa tego pomysłu. Nie umiałem wyzwolić się od niego. Teraz, gdy rozmyślam o tym, czuję się winny jego śmierci, co prawda w sposób irracjonalny, gdyż ja naprawdę nic mu nie zrobiłem i za wszelką cenę starałem się powstrzymać od tego typu conceptów. Czułem, że wtedy on jakby nade mną miał przewagę, zaczynał dominować. Chcąc nie chcąc byłem z nim związany. Był deszczowy wieczór, krople powoli spadały z nieba, niektóre zawisały na drutach elektrycznych i brzemienne czekały na moment rozwiązania, gdy on nastąpił, spadały w dół cicho. I ta chwila ich lotu to było całe życie, gdyż na chodniku ginęły, zlewając się w jedną masę z wodą, która tu już tworzyła kałużę. Śmierć to chyba zatracenie własnej pojedynczości, indywidualności. Miałem wówczas szesnaście lat i stosunki z mym ojczymem w dalszym ciągu nie układały się dobrze. Nienawidziłem go a on

mnie. Udawaliśmy między sobą wymuszoną grzeczność.

Wracałem z prywatki u Renaty. Była to moja dziewczyna, drobniutka, zawsze uśmiechnięta. Na zabawie było też kilku moich przyjaciół, których Renata zaprosiła dla mnie i jej koleżanki. W sumie impreza była udana i wszyscy zadowoleni rozeszli się do domów. Ja jeszcze chwilę zostałem u niej i pomagałem sprzątać. Poczułem się tak jak wtenczas, gdy mój ojciec jeszcze żył. Czułem się jak w mej starej rodzinie. Nastrój, spokój i ciepło tego domu wyzwoliły we mnie wspaniały stan. Gdy pożegnałem się z Renatą, czar prysnął. Wiedziałem, że muszę wrócić do domu, a w nim zastanę ojczyma, którego przynajmniej powinienem tolerować. Szedłem bardzo wolno, zatrzymując się przy każdej wystawie, plakacie, ogłoszeniu. Czytałem je: ktoś sprzedawał kredens w dobrym stanie, inny udzielał lekcji matematyki. Wszystko to wydało mi się takie zwyczajne, codzienne, takie jak powinno być i tak odległe od atmosfery w moim bądź co bądź rodzinnym domu. Gdy doszedłem do niego, miałem mokro w butach. Parasola nie miałem, ale kurtka, którą nieraz zabierałem na swe górskie wyprawy nie przemokła tak, że odzież miałem suchą. Patrzyłem w okno, w którym świeciło się światło. To był pokój mojej matki i mojego ojczyma. Zapragnąłem, by promienie śmierci wysłane z mych oczów przebiły się przez szkło i zadały śmiertelną ranę jemu. Stałem przed drzwiami, chwyciłem klamkę w obie ręce i wydało mi się, że jest to jego szyja, ścisnąłem gwałtownie, ile tylko miałem sił i tak trzymałem. Miałem wrażenie, że klamka jest ciepła i gdy ją nacisnąłem, zmniejszyła objętość. Wtedy usłyszałem krzyk matki. Nacisnąłem jeszcze raz klamkę, tym razem w celu otworzenia drzwi. To, co zastałem w mieszkaniu, przeraziło mnie. Ojczym leżał martwy, jakby uduszony. Czy ja go zabiłem? Kto teraz odpowie na moje pytanie?

KUDYBY WIERNOŚĆ POETYCKA

Jak trudno

*Jak trudno pozostać wiernym
Małym rzeczom — najprostszym
Poruszeniom łaski, zwykłej*

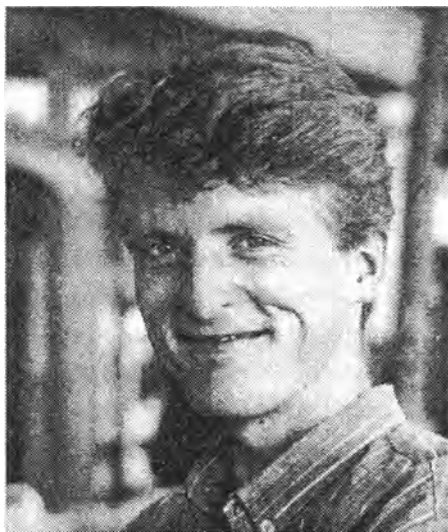
Poezji

... tak zwierza się poeta, **Wojciech Kudyba**, w swym debiutanckim tomiku właśnie pt. *Wierność w małej rzeczy*. Czy poeta ma na myśli jedynie rzeczy drobne, o małym wymiarze gatunkowym, czy też chodzi mu o coś ważniejszego, istotniejszego? Spróbujmy się przez chwilę nad tym zastanowić.

Wojciech Kudyba, rocznik 1965, urodził się w Tomaszowie Lubelskim. Jest absolwentem filologii polskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W latach 1988–1989 pracował jako uniwersytecki korespondent miesięcznika „*Życie Chrześcijańskie w Polsce i w świecie współczesnym*”. Obecnie pracuje jako nauczyciel, oczywiście, języka polskiego w Zespole Szkół Społecznych „Splot” w Nowym Sączu. Ukończył studia doktoranckie w Katedrze Teorii Literatury KUL przygotowując rozprawę na temat języka religijnego Cypriana Kamila Norwida.

Jako poeta debiutował w 1992 r. w dominikańskim miesięczniku „*W drodze*” wydawanym w Poznaniu po wyróżnieniu jego wierszy pierwszą nagrodą w IV konkur-

sie im. Romana Brandstaettera. Swoją poezję, a także prozę, eseje krytycznoliterackie publikował właśnie na łamach wspomnianego pisma, a także w „*Powściągliwości i Pracy*”, „*Akcencie*”, „*Integracjach*”, czy też w „*Polonistyce*”. Jest laureatem ogólnopolskich konkursów literackich m. in. im. św. Maksymiliana Kolbego i Grzegorza z Sanoka. Tomik pt. *Wierność w małej rzeczy* jest pierwszym zbiorkiem poezji Wojciech Kudyby. Za ten właśnie tomik otrzymał on wyróżnienie w konkursie lubelskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Myślę, że zachęcę Czytelników do wczytania się w ten godny poznania tomik poetycki, wiedząc oczywiście, że nie do końca można wszystko wyjaśnić, że nie da się odślonić wszystkich zawartych w nim myśli i znaczeń, zdając sobie sprawę, że nie zastąpi to bezpośredniego kontaktu czytelnika z tekstem, który może nadać nowe sensy i skojarzenia odbiorcy, mogące wymknąć się uwadze recenzenta. A do obcowania z poezją Kudyby gorąco zachęcam, gdyż i autor jest człowiekiem nader ciekawym, a i poezja wydaje mi się — zwłaszcza w dzisiejszych czasach bylejakości wierszowania — czymś ważnym, jakąś dużą szansą na własny, niepowtarzalny głos artystyczny i myślowy.

Otóż tomik *Wierność małej rzeczy* pozornie, ale tylko pozornie, co spróbuję później uzasadnić, rozpada się jakby na dwie części. Pierwsza z nich jest swoistą wędrówką, podróżą po rzeczywistości wywodzącej się z kręgu kultury judeo-chrześcijańskiej, druga towarzyszy życiu bliższemu, codziennemu, owej „limfie życia”, o której kilka razy wspomina autor.

Wędrówka symbolizuje drogę życia, dążenie do celu, potrzebę nowych doświadczeń, duchowych znaków. Słowo Boże w Biblii wciela się w wędrowca na tym świecie. Dlatego też uczestniczymy w wędrówce po przestrzeni biblijnej, tej starotestamentowej i ewangelicznej, opisującej czasy Chrystusa. W podróży po przestrzeni przedchrystusowej jesteśmy zaśluchani w opowieść Jonasza, który nawiedza bibliotekę nieżyjącego już władcy Asyrii Assurbanipala i szczęśliwy, że zastał jeszcze ludzi w Niniwie, którzy dzielą się ze sobą chlebem do wieczery, jest jednocześnie świadom, że zbliża się czas ich nieuchronnej zagłady:

*Byłem głosem polnych zwierząt, ptaków,
Głosem ryby, posłusznym głosem krzewu.
Tylko głosem. Huczała wojna.
Zbliżała się potęga Babel.*

Jesteśmy świadkami święta pór roku, oglądamy kwitnące wzgórza Karmelu, gdzie Samuel przygotowuje się do odśpiewania pieśni królestwa, uczestniczymy w ceremonii rozplatania ryby przez Tobiasza, ryby, która posiadała nadnaturalne właściwości, uczestniczymy dotykalnie we wskrzeszeniu Łazarza, obcujemy z wędrowną Ruth, która porzuciła kraj Moabu, nie tylko by towarzyszyć teściowej ku nowemu życiu, ale i nowemu Panu, nowej Religii. Nie ominie nas też przywrócenie do życia młodzieńca leżącego już na marach, odwiedzimy Kafarnaum znane z tego, że nauka Jezusa nie znalazła tam właściwego oddźwięku, znajdziemy się na drodze do Emaus, gdzie Chrystus ukazał się Kleofasowi i Szymonowi Piotrowi w czasie ich drogi do miasta, lecz pozostał przez nich nie rozpoznany.

My, jako odbiorcy, znajdujemy się jakby obok tych ważnych spraw, za zasłoną stworzoną z naszej sfery profanum, gdyż sytuacja liryczna ustawia odbiorcę jako tylko podglądającego świadka, który może uczestniczyć w realizacji się epifanii, napić ze źródła objawiającej się boskości w danym miejscu, w zdarzeniu, w atmosferze wydarzenia, gdy zna cały kontekst biblijny, gdy jego erudycja lub wiara na tyle są coś warte, że zapisane przez poetę sytuacje, są czymś więcej niż tylko strukturą słowną, zgrabnie zbudowanym wierszem, udaną metaforą. Poezja Kudyby to nie tylko akt słowny, to także możliwość kreacji życia sakralnego, próba obiektywizacji biblijnych epifanii w słowie poetyckim.

Wojciech Kudyba pokazuje nam inne niż dotychczas popularne ukorzenie naszej cywilizacji, naszą tradycję, genezę kultury, która jego zdaniem tkwi przede wszystkim głębiej w starożytnym wschodzie, w Biblii, a jeżeli ukorzenie to jest czymś trwałym, niezbywalnym, to tak jakbyśmy doznali łaski obcowania z rzeczywistością duchową, odwiecznie odradzająca się, skupiającą wokół wiążącej naszej wędrowności od powstania sfery sakralnej do dzisiejszej rzeczywistości codziennej.

Dla bohaterów lirycznych tych wierszy rzeczywistość biblijna wydaje się być, może lepiej powiedzieć, jest rzeczywistością realną, jak realny jest spokojny rytm ognia, obroty wieczorów, łagodne falowanie pagórków, jasne ciało rozciętej ryby czy splecione grzbiety winnic.

Uwiarygodnieniem tej rzeczywistości jest nie tylko święta księga jako jedyne i ostateczne kryterium prawdy, ale i rzetelność, i swoboda z jaką autor porusza się po jej ścieżkach, a także jego wnikliwe i dogłębne analizowanie sytuacji, które kiedyś

zdarzyły się, a które i dla współczesnego człowieka mają miarodajne znaczenie, pewna swoista poetycka egzegeza Słowa. Autor zakłada, że może i my, jako odbiorcy, jako mieszkańcy świata tu i teraz, przechodzimy obok różnorodnych epifanii, obok miejsc, ludzi, rzeczy, które są ujawnieniem się świętości, czegoś, co istnieje poza nami, lecz nie potrafimy tego dostrzec, bo brak nam pokory, uwagi, rozważnego skupienia. Poecie, jako wrażliwemu odbiorcy świata, jako swoistemu przekaznikowi między świętością, tajemnicą, a nami — jest odpowiednie rzeczy dać imię, dane jest mu dojrzeć to, co w krętych pochodniach wiatru, na dnie uczucia Ruth, w opowiadaniu Anny, barwach mowy możliwe jest do uchwycenia, a jeśli się jest jeszcze do tego i poetą, do zapisania.

Otóż nadrzędnym nośnikiem, osią kompozycyjną, która spaja tak przez autora rzeczywistość sakralną jest wyraz Słowo. Wyraz odmieniany w wielu wariantach, lecz tkwiący w tym samym polu semantyczno-metaforycznym. Mamy tutaj do czynienia i z literami życia, samogłoskami trwania, głosem polnych zwierząt, gaworzeniem jaskółek, wętną sylab, podmuchami mowy, oddechem sylab, materią spółgłosek, trzepoczącą mową, obrzędami mowy, obłokiem głosu, nawoływaniem oddechu, czy płomieniem języka itd. itp. Słowo pojmowane jest jako kreator rzeczywistości poetyckiej, a przypuszczam, że też tej realnej, nam codziennej. Granice języka są — parafrazując Wittgensteina — granicami świadomości podmiotu lirycznego. Ma ona swój biblijny niemal wymiar. Nie tylko dlatego, że Kudyba często czytuje słowa czy zdania z Biblii, przytacza wypowiedzi postaci biblijnych, potrafi robić to dosłownie, ale też je parafrazuje, nadaje im nowe znaczenie w zderzeniu z konkretną materią wiersza, przetwarza. „*Na początku było słowo*” — powiada ewangelista. I także wiersz jest zbudowany ze słów, które w pojęciu Kudyby mają wymiar prawie sakralny.

Przy czym poezja jest w pewnym sensie fenomenem totalnym. Chce objąć wszystkie możliwe głosy swoim zasięgiem:

*Miałem bowiem śpiewać pieśń Królestwa —
Żaden głos
Nie mógł być pominięty.*

Słowo jako narzędzie ludzkiej mowy może być jednocześnie w ujęciu biblijnym na usługach dobra, jak i zła. Możliwość wypowiadania się słowem zalicza się do sfery kreatorskiej. Słowo poety wystawia i odsłania przed nami sferę sakralną. Serce i język to organy, które decydują często o jakości człowieka, w wypadku tomiku poezji Wojciecha Kudyby ma to zasadnicze znaczenie. Poeta pisze:

*strzeż mnie przed grzechem
nieuwagi —*

mowo

a w innym miejscu

*Lecz nawet wtedy, kiedy brakuje ci
Dzielności, powinnaś jej bronić
Mowo —*

Czystości serca.

Tylko twórcy o sercu czystym mogą zatem mówić językiem, który nie zawiera w sobie żadnej niegodziwości, który nie jest językiem podwójnym. Kudyba zakłada więc zależność między poetyką a etyką. Zakładając tę pełną harmonię pomiędzy mową i sercem, między słowem a wolą Kudyba zdaje się realizować biblijną wartość jako przekaźnika prawdy. Język bogobojnego wysławia i wielbi Boga — powiada psalmista (126). Nie trudno zauważyć, że jest to program nie tylko artystyczny, ale i etyczny. To, na ile uwierzmy poecie, na ile ukaże on w swoich tekstach czystość intencji wpłynie na wartość jego poezji i odwrotnie, poezja jako przekaźnik epifanii zakłada poetę jako wyznawcę prawdy, tej prawdy, która została zapisana kiedyś w świętych księgach, a która już od paru tysięcy lat nie może pozostawić nas obojętnych wobec tajemnic świata, a zwłaszcza wobec nas samych. Łatwo teraz zauważyć, dlaczego Kudyba tak uparcie i jasno używa terminów pochodzących z kręgu pola semantycznego, który umownie nazwaliśmy polem–słowa. Tekst uwiarygodnia zdarzenie opisywane w wierszu, a z drugiej strony wiersz staje się dowodem prawdziwości poety. Można więc powiedzieć, nawet trzeba, że poezja w rozumieniu autora to nie tylko tworzenie, ale i próba objawienia nam wartości w dzisiejszym zatamizowanym, zuniformizowanym, pełnym sfer profanum świecie. Jest to, rzekłbym, program maksymalistyczny. Sit autem sermo vester, est, est; non, non — (lecz niech mowa wasza będzie tak, tak; nie, nie) te słowa pochodzą z Ewangelii św. Mateusza, cytowane według Wulgaty i Kudyba popisuje się po nimi:

*Zaufać mowie, posłuszenie
Powtórzyć najprostsze wyrazy
(tak, nie)*

Rola poezji Kudyby polega na odkrywaniu zakrytych dla nas świętości, na próbie ujednolicenia znaczeń, poszukiwaniu gnomy, na drażeniu sensu wypowiedzi, który powinien być jednoznaczny przynajmniej w sensie moralnym, jeśli nie w artystycznym. (Jak wiadomo poezja jako zjawisko polisemantyczne potrafi płać figle). Dlatego mowa Kudyby to język raczej klasycystyczny niż burzący kanony wypowiedzi poetyckiej, trochę — zwłaszcza w pierwszych wierszach tomiku dostojny, by nie rzec, hieratyczny. Poezja ta przypomina trochę koncepcję poezji uczonej, nawiązania do języka — już nie tylko wydarzeń, postaci, cytatów — Biblii wynika choćby ze sposobu nazywania czasu. Wiersze Kudyby w dość dużej swej części zaczynają się od określników czasu, co wpływa na całokształt utworu, a jest niewątpliwie głębokim wczytaniem się w Pismo św. By nie być gołosłownym przytoczmy kilka incypitów wierszy lub jego usytuowań czasowych: wówczas, zmierzch, różne określenia pory dnia, nocy, roku np. od wtedy, tego poranka, po południu, po ukończeniu żniw, jest ranek, dzień, jesienne zbior, gorące lato, w październiku, każdego dnia, czasem, wtedy itd. przykłady można by mnożyć. Jest to twórcza interpretacja wersów Biblii, powtarzam, twórcza, nie naśladowcza, w jakiś tylko poecie wiadomy sposób wzbogacająca treść wiersza.

Kategorię moralną, a nie fizjologiczną, u Kudyby jest pojęcie zmęczenia. Jak pisze **Andrzej Sulikowski**: *„Męczymy się dla ważnych spraw: dzieciom, domu, poznania świata. Być dobrze zmęczonym to być posłusznym, oddanym, wyciszonym”*. Tyle Sulikowski. Myślę, że nie dopowiedział wszystkiego do końca. Otóż, jak wspomniałem — a trzeba tu od razu zauważyć, że kategoria zmęczenia pojawi się w drugiej, nazwijmy to tak dla przejrzystości wykładu — części książki. Ma ona — ta kategoria — aspekt moralny, antropologiczny. Życie, a nawet poszczególny dzień, czy też jego ułamek nakładają na nas obowiązki, zakładają wierność w małej rzeczy. Jak pisze autor:

*W poniżeniu, chorobie,
Błądząc uczyć się wierności
W małych rzeczach (...)*

a w innym wierszu:

*Zmęczenie. Posłuszenie
Wchodzę w otwarte brzegi
Aorty. Staje się krwią.*

Po dobrze spełnionym dniu, a obowiązki poeta pojmuję jako nie tylko konieczną powinność wobec najbliższych, wobec żony, czy dzieci, ogniska domowego, ale i wobec

świata, nie tego świata, który nas codziennie atakuje bezmyślnością zmuszając do bezrefleksyjnej wegetacji, ale świata tradycji, w tym wypadku judeo–chrześcijańskiej, świata przeszłości, ale i pewnego uniwersalizmu, wobec którego musimy być posłuszni, bo jeśli go odrzucimy staniemy bezbronni i nadzy, nie ukorzenieni. Tu właśnie widzę pierwszy łącznik między, jak to dla potrzeb interpretacyjnych, nazwałem umownie dwiema częściami książki. Otóż twierdzę, że jak Jonasz, Tobiasz, Samuel, Set, Ruth czy Anna spełnili swoje obowiązki wobec ujawniającej się wobec nich świętości, tak i naszą świętością jest codzienność, jest cierpliwe wychowywanie dzieci, trud w codziennym bytowaniu, pracy, cierpienie w chorobie, poznawanie i interpretacja świata, pisanie wierszy, a także milczenie, gdy nadejdzie czas modlitwy:

*W październiku
Odmawiać różaniec — (...)*

Milczeć.

Stanie się właśnie limfą, krwią, a więc głównym czynnikiem życiodajnym. Ten postulat moralny musi spełnić wirtualny odbiorca tomiku Kudyby, jeżeli chce dostąpić godności człowieczeństwa.

Drugim — lecz nie mniej istotnym — łącznikiem jest modlitwa: Modlitwa mająca niewątpliwie w ujęciu poety swoje źródło u Najwyższego jest spoiwem, które pozwala bez nieuzasadnionych skoków połączyć tomik w jedną spójną całość. I rzeczą kompozycji jest, że pojawia się to słowo w centrum tomiku, w jego wierszach tkwiących w środkowej fazie zbioru.

Módlmy się synku.

Następny tekst:

*Modlitwa o rzeczy proste — przespaną noc
zdrowie naszego synka*

I dalej:

*W podróży, chory,
Modlę się, słucham*

i ostatni przykład:

*Po długim dniu w wilgotnych
Łąkach wieczoru, w trawach nocy
Ścieżki modlitwy.*

I u Kudyby nie jest modlitwa abstrakcyjna, ani zwyczajowa, łączy się z takimi pojęciami jak krew, limfa, zmęczenie czy wreszcie z owocem życia — synkiem. Stosunek autora do dziecka jest stosunkiem pokory obowiązku wobec cudu stworzenia, trudu i zmęczenia przy przekazywaniu swojej jaźni i historii dziecku. Trzecim łącznikiem jest porównanie symboliki tradycji biblijnych, z których Iwia część jest powiązana z historią rodziny, z przewodnim motywem budowania więzi z najbliższym potomkiem, synkiem, który przecież w przyszłości zapewne założy swoją rodzinę. I tak wybory dokonywane w świecie biblijnym dotykają nas bezpośrednio jednocząc przeszłość z przyszłością, ozas biblijny z teraźniejszym. Czas rytualny zetknął się z czasem historycznym, życie wypełniło się mową poetycką. Ma to w sobie coś z katharsis i dopełnienia:

*Otwórz, oczyszczaj
Jasna strugo krwi, obmyj
Promieniu limfy, napętn mnie*

Mowo.

W środkach poetyckich ta umowna pierwsza część jest bardzo bogata w metafory, epitety metaforyczne, aluzje, symbole, czasem niezwykle porównania. To, co nieożywione w poezji Kudyby ożywa np. falowanie pagórków, chóry poranka, senne kołysanie lasów, uchodzące brzegi południa, splecione grzbiety winnic, ulatujące uniesione szczyty, gonitwy chmur. Z kolei nazwy związane ze światem człowieczym są urzeczowione, ukonkretnione, czy też nawet nadano im cechy natury: np. litery życia, byłem głosem polnych zwierząt, niebieska nitka przeznaczenia, łagodna wełna sylab, struna śmierci, podmuchy mowy, płaszcz obietnicy taktów przeznaczenia, złote strumienie krwi, ścierniska bólu.

Semantyka wyrazów obraca się w kręgu pojęć wędrówki, stąd elementy krajobrazu: wody, pagórki, świątynie, mury, wzgórza, winnice, wyżyny, niebo, jaskółki, osty, linie horyzontalne, dolina Tygrysu, rzeki, obłoki, równiny, deszcze, jeziora. Przestrzen-

ność i, jeśli tak można powiedzieć, ruchliwość i dość znaczny obszar geografii biblijnej nacechowany jest z samej istoty sakrum, wznoszeniem się ku górze, niebu, obcowaniem z wielkimi przestrzeniami, ideą wolności i poszukiwania prawdy w słowie.

Z kolei w tej drugiej — jak to umownie nazwaliśmy części tomiku — mniej bujnej w środku poetyckiej, już choćby dlatego, że teksty są krótsze, lapidarniejsze — niewątpliwie wpływ poezji japońskiej, a zwłaszcza struktury poetyckiej typu tanka czy haiku, lecz równie medytacyjnej — ale też obracającej się wokół trochę problemów, bardziej intymnych tematów, stąd zawęża się semantyka wyrazów ciała ludzkiego, jakby wędrówka do wewnątrz: oddech, głos, krew, tkanki, język, cierpliwość, cierpienie, serce, zmęczenie, uległość, pobożność, niecierpliwość. Znaczy to, że najpierw poznamy świat zewnętrzny, który jest generatorem świata wewnętrznego poety, wędrówką w głąb siebie. Autor wychodzi od chrześcijańskich idei, by dojść do konstatacji, że prawdziwym tematem poezji jest poznanie własnego — „ja”, przebywa tę frapującą, poetycką, a jednocześnie filozoficzną podróż.

Już kończąc: w istocie tomik Kudyby *Wierność w małej rzeczy* okazuje się być wiernością w rzeczach wielkich. Wielkich, bo podstawowych, bo kreujących naszą tradycję, to skąd przychodzimy, kim jesteśmy i dokąd mamy zmierzać. Próbą trudną w odbiorze, lecz jak mi się wydaje, na tle dzisiejszej łatwizny myślowej i artystycznej wierszowania, pomieszanania lub braku pojęć etycznych i artystycznych, próbą ambitną. Nie jest to zbiór przypadkowo zebranych tekstów i ułożonych w pewną niekoherentną sumę wierszy, lecz struktura głęboko przemyślana kompozycyjnie i celowościowo, tworząca oryginalną całość. Poeta nie zaczął, jak to zwykle debiutant czyni od użalania się nad własnym pożałowania godnym „ja”, nie od nieprzemyślanego buntu, w którym nie ma się od czasu Bursy czy Wojaczaka prawie nic do dodania, ukazał za to, że nie wzięliśmy się z dnia wczorajszego, że mamy bogatą i dającą wiele przemyśleń i wskazówek tradycję, niezbywalną przestrzeń kulturową, wykazał wreszcie, że trzeba sporo odwagi, trudu rodzącego zmęczenie, by być w pełni wielowymiarowym człowiekiem. I to w sposób głęboki filozoficznie i finezyjny artystycznie. Bo to, że poezja Kudyby jest prawdziwą poezją, a nie wierszowaniem tylko, nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości.

Jerzy Giza

STANISŁAW KASINA — SĄDECZANIN, ŚWIATA OBYWATEL

Wszędzie można spotkać Sądeczan. Toteż kiedy w Krakowie zadzwoniła do mnie Pani **Feliksa Twardowska-Michalikowa** z prośbą o spotkanie — w ważnej dla upamiętnienia sądeckich spraw kwestii — wcale się nie zdziwiłem. Przy herbacie i ciasteczkach bez trudu przekonała mnie do napisania tego tekstu o **kpt. dr. Stanisławie Kasinie**, sądeczaninie i obywatelu świata...

Urodził się 17 grudnia 1913 roku w Nowym Sączu jako syn **Jana Kasiny** (1886–1955) robotnika, żołnierza 20. galicyjskiego pułku piechoty Księcia Pruskiego Henryka cesarsko-królewskiej armii, a w wyniku ran z frontów I wojny światowej, inwalidy i **Małgorzaty Myrlak** (1888–1935) rodem z Marcinkowic. Dom rodzinny i I Gimnazjum im. ks. J. Długosza w Nowym Sączu, którego był absolwentem (matura w 1932 roku), wlały weń ten patriotyzm i umiłowanie pracy, co pomogło mu przetrwać różne koleje losu i stać się postacią znaną i szanowaną z dala od Nowego Sącza, z dala od Polski, w czas wojny i w czas pokoju.



Stanisław Kasina

Po zdaniu egzaminów maturalnych, był (w latach 1932–1938) studentem Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Po jego ukończeniu, w październiku 1938 roku, powołany został do czynnej służby wojskowej w Szkole Podchorążych Sanitarnych Rezerwy w Warszawie, a w marcu 1939 roku otrzymał przydział służbowy celem odbycia praktyki w batalionie Korpusu Ochrony Pogranicza w Sejnach (powiat Suwałki). Jako lekarz tego batalionu w stopniu plutonowego podchorążego wziął udział w kampanii wrześniowej 1939 roku walcząc przeciwko oddziałom niemieckim, a, po 17 września, także sowieckim, aż do chwili przekroczenia wraz ze swym batalionem granicy polsko–litewskiej. W obozach internowania na Litwie (w Olicie, a później w Kalwarii) przebywał od 26 września 1939 do 11 lipca 1940 roku.

Po aneksji państw bałtyckich przez Rosję Sowiecką, został wraz z innymi oficerami i podchorążymi przewieziony do obozu jenieckiego w Kozielsku, pustego już po wymordowaniu na wiosnę 1940 roku wcześniej tam przebywających oficerów Wojska Polskiego. Po brutalnym przesłuchaniu przez NKWD we wrześniu 1940 roku przewieziony został do obozu Juchnow (Pawliszczew Bor). Transport odbywał się w tych samych wagonach, którymi parę miesięcy wcześniej wieziono polskich oficerów na miejsce ich zagłady w katyńskim lesie. W czerwcu 1941 roku tuż przed napaścią Niemiec na Rosję Sowiecką, deportowano go do łagru znajdującego się na Półwyspie Kola. Pracował tam ciężko w niezwykle trudnych warunkach, ale całe szczęście wojska niemieckie, a od północy fińskie, spychały skutecznie oddziały Armii Czerwonej, wobec czego w lipcu 1941 roku przetransportowany został wraz z innymi do Archangielska, a później — poprzez obóz Władimir na północny wschód od Moskwy — do Suzdała. Maszerowali w spiekocie rosyjskiego lata bez jedzenia i wody, otoczeni przez żołnierzy NKWD z psami. Tam — po przebyciu ciężkiej choroby — dowiedział się 28 sierpnia 1941 roku, że na podstawie układu Sikorski–Majski tworzona będzie Armia Polska na Wschodzie, więc jest wolny! Tak sam to wspomina: „... *Na zorganizowanym wiecu po ogłoszeniu tej radosnej nowiny, oficerowie NKWD krzyczeli »zdrastwujet družba mieźdu wielikim polskom narodom a sowieckim narodom...« przyniesiono nam też zaraz mięso i wódkę, wielu z nas rozchorowało się z przejedzenia...*”. Stamtąd przeniesiony został do formującego się w Tatiszczewie (koło Saratowa nad Wołgą) 5. dywizji piechoty z przydziałem do jej III batalionu 15. pułku piechoty. W grudniu 1941 roku otrzymał awans do stopnia podporucznika i przeniesiony został na stanowisko lekarza w szpitalu polskim w Dżał–Abadzie (Uzbekistan). Przebywał tam do kwietnia 1942 roku, kiedy to pomagał przy ewakuacji tysięcy polskich rodzin do Krasnowodska nad Morzem Kaspijskim, aby następnie statkami wywieźć

je do Iranu. Tak wspomina te chwile: „... Zdaliśmy sowiecką broń. Miałem wtedy okazję porozmawiać chwilę z krajanem ppłk. Zygmuntem Berlingiem, który — jak się wyraził — pozostał dla wyższych celów w Sowietach (...) Zostaliśmy ciasno załadowani na statki i odpłynęliśmy w sierpniu 1942 roku do Persji. W Pahlevi dostaliśmy mundury brytyjskie i pieniądze perskie. Przez ogromne góry ciężarówkami przewieziono nas do Iraku, gdzie mogłem podziwiać świetną organizację i wyposażenie brytyjskich szpitali polowych...”.

Tam od września 1942 do sierpnia 1943 roku był lekarzem w polskim szpitalu wojskowym nr 4 najpierw w Teheranie, a później w Mossulu. Potem na rozkaz szefa służby zdrowia Armii Polskiej na Wschodzie gen. **Bolesława Szareckiego** oddelegowany został na dalsze studia medyczne na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Francuskiego w Bejrucie. Ukończył je w lutym 1945 roku z tytułem doktora medycyny. W marcu tegoż roku po awansie do stopnia porucznika otrzymał przydział do 10. pułku huzarów w 14. Wielkopolskiej Brygadzie Pancерnej stacjonującej na pustyni libijskiej. Następnie przeniesiono go wraz z pułkiem do Włoch, a w czerwcu 1946 roku statkami przepławiono do Anglii. Tam ostatecznie skończyła się dla dr. Stanisława Kasiny II wojna światowa. Mimo złych doświadczeń z komunizmem sowieckim i pełnej świadomości, że ojczyzna nie była niepodległą, postanowił wrócić do Polski, by służyć swą wiedzą rodakom.

W lipcu 1947 roku przybył do Warszawy i otrzymał pracę w Szpitalu pw. Przemienienia Pańskiego. W umęczonej wojną i okupacją Polsce nastał komunistyczny terror. Nie mógł się z tym pogodzić. Rzucił się więc w wir pracy dodatkowej, zostając lekarzem domowym na Bródnie i Pelcowiznie. Równocześnie ciągle się doskonalił naukowo, aby w końcu zostać ordynatorem chirurgii z drugim stopniem specjalizacji. Kiedy jednak nadarzyła się pierwsza okazja wyjazdu za granicę, to pojechał. Jako lekarz Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) pracował od lutego 1961 roku w Kongu Belgijskim. Do Polski już nie powrócił.

W latach 1967–1979 był lekarzem w szpitalach w Szwecji. Następnie — po przejściu na emeryturę — zamieszkał w Danii, gdzie doczekał się w listopadzie 1990 roku ostatniego wojskowego awansu. Minister Spraw Wojskowych Rządu RP na Uchodźstwie gen. bryg. **Jerzy Morawicz** mianował go kapitanem pospolitego ruszenia. Odznaczony został przez Prezydenta **Lecha Wałęsę** Medalem „Za udział w wojnie obronnej 1939” i Krzyżem Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a także Medalem Wojska Polskiego i Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz brytyjskimi odznaczeniami: Defence Medal i War Medal 1939–1945. Był dwukrotnie żonaty. Najpierw — jeszcze w Palestynie w 1943 roku — z **Danutą Opott**, z którą miał dwie

córki: Bożenę (1947–1990) i Marię (urodzoną w 1950 roku i pracującą obecnie w Ministerstwie Finansów w Kanadzie), a później, po raz drugi — z duńską lekarką **Marią Steg**.

Stanisław Kasina absolwent I Gimnazjum w Nowym Sączu, kapitan WP, doktor nauk medycznych, sądeczanin i świata obywatel, ma dziś 84 lata i mieszka z dala od swej Ojczyzny. Cieszy się sympatią i szacunkiem zarówno tamtej lokalnej społeczności, jak i polskiej emigracji polityczno-wojskowej. Ma już bardzo słaby wzrok i z trudem czyta, ale kiedy przymknie oczy widzi wszystkie ulice Nowego Sącza z czasów swojej młodości, widzi Dunajec i Kamienicę, rozpoznaje twarze przemawiających przed ponad pół wiekiem profesorów gimnazjalnych: Pawłowskiego, Rapfa, Lambora, Pelczara czy księdza Cierniaka. Widzi wreszcie swoją uroczą, sądecką sympatię — wówczas jeszcze pannę — Feliksę Twardowską. I tylko czas upływa nieubłagane, ale ludzie tacy jak On nie powinni zostać zapomniani, co kreślę — jak Sądeczanin o Sądeczanie — z najgłębszym przekonaniem.

Władysława Lubasiowa

Szanowny Panie Redaktorze

Zaprzyjaźniony ze mną p. Józef Bieniek uderzył zaostrzonym piórem w nieżyjącego mojego przyjaciela, poetę, Jerzego Kłosowskiego–Niemojowskiego. (Józef Bieniek: *Dzieje „Zochy”,* rozdział „*Ostatni bój*”. „*Almamach Sądecki*” Nr 1 (18/1997).

Nie znam sprawy i nie będę polemizować z kol. Bieńkiem, tym bardziej — że kol. Bieniek też nie czytał tego artykułu Niemojowskiego zamieszczonego w „*Dzienniku Żołnierza*”, a z powodu którego piętnuje Niemojowskiego. Nie ujawnia też zarzutów siostry Adama Rysiewicza skierowanych przeciwko poecie. Z czym więc polemizować? Same emocje. Przeto ja też reaguję emocjonalnie — i gwoli sprawiedliwości przytaczam piękny wiersz Jerzego Niemojowskiego poświęcony pamięci kolegi. Dodaję też, że Niemojowski nie był „*modnym w londyńskiej Polonii literatem i poetą*”. Nie był modny ani w Anglii — ani w Polsce.

Pierwodruk wspomnianego wiersza Jerzego Niemojowskiego ukazał się w tomiku poety *Najkosztowniejszy poemat* wydanym w Hanowerze w 1946 r. przez Polski Związek Wychodźstwa.

Był również drukowany w Polsce w obszernym tomie pt. *Wiersze wczesne wybrane*. — Wstęp i wybór, Ryszard Matuszewski. (Czytelnik Warszawa 1983).

Według tego wydania podaję treść wiersza:

Elegia

na śmierć Adama Rysiewicza

*Tobie, utracony na zawsze, wybuduję z liści elegię,
Liście będą czerwone: winogrodu, buka i klonu,
Aby ci, którzy przyjdą po Tobie, nie na próżno dźwigali kamień,
Ale po to, by pał dostatek w domy ich, pełne winnej jagody;
Na ramionach jak konar klonu żelazistych, gibkich jak korzeń,
Niechaj spocznie woła wyrębu, błogostawiać opał, budulec,
Cios toporu, uśmiech pod słońce, rozfruwane pod niebo wiechy...
Taki dom pragnąłeś spiętrzyć, aby sosrąb utkwiał na niebie! —
I nie brakło w sztandarach krzyku, zwarcia pięści, gniewu i zgonu.
Dałeś życie, wołając liście, aby z rzadka proszące pamięć,
Szczzerwienily miejsce pogrobne, które włos ci przycięło młody —
Aby niosąc jakoweś dary, brat twój zdjęte przyniósł obroże,
Aby chcąc stawić ci kamień — na mogiłę stawiali ule
I na skrzypcach z sądeckiej deski rzewną śpiewkę grali z uśmiechem...
Bo nie mogłeś, nie mogłeś, nie mogłeś, patrząc w opar, nie
zburzyć siebie,
Kiedy bił Oświęcim mgłą, zagubiony w krzyku milionów!
Fasadami zniesionych wsi rudowłosa kładła się zamieć
I po snach majaczyły łzy w oczach wielkich od wilczej jagody...
— Wtedy przyszedł gorzki grymas ust — i gorące targnięcie
nożem! —
Aby w puch! — i odbić krzyk — i do ramion przycisnąć czule ...!
Ale wszystko zagarnęła śmierć.*

Brateś ją jak szum płynącej rzeki...

*Liście są takie sine jak deszcz... Dachem dłoni włos chroni Hebe.
Idą wszystkie winogrody, buk twoich Karpat, dróg naszych klony.
Robotnicy obnażeniem rąk jako w dzwon zadzwonili w kamień
I ofiarnym natężeniem bark odsuwają z dróg ziemi kłody.*

*Jako z marzeń biją gromy słów, młodociany mówco — i czas orze,
I dobija sok do zeschniętych pni, i rdzewieją na polach kule,
I to widmo, w którymś skończył dni, jako fantom odpływa daleki...*

Jerzy Niemojowski: *Wiersze wczesne wybrane*. Czytelnik Warszawa 1983, strony 244–246

Olga Stände **Szanowny Panie**

Dziękuję za przysłany numer „*Almanachu Sądeckiego*” z Pana artykułem o Jadwidzie Rysiewicz. Jest to osoba, która na pewno zasługuje na to, by ocalić Ją od zapomnienia. Ale zasługuje na prawdę, a nie na fantazję i zmyślenia. To jest powód, dla którego piszę dopiero dzisiaj: chciałam, żeby opadły moje złe emocje, bo list byłby jeszcze ostrzejszy w formie, niż ten.

Mówię tylko o sprawach, które dobrze znam. Co do innych mam dużo zastrzeżeń. Mimo woli nasuwa się pytanie: skoro tu jest tyle zafałszowań, to czy można wierzyć w pozostałe treści?

Przede wszystkim to, co dotyczy mnie (str. 61):

nie przyjechałam do Krakowa z Łodzi,
nie byłam wysiedlona,
nie przyjechałam żadnym transportem,
nie byłam wcześniej w PPS,
nie byłam działaczką młodzieżówki PPS,
nie miałam w Krakowie żadnych znajomych w PPS,
ani od razu, ani potem nie weszłam w skład aktywu partii,
przed wojną byłam uczennicą liceum i nie miałam żadnego zawodu,
nie znałam języka angielskiego,
nasłuch radiowy prowadziłam do końca,
nie załatwiałam żadnej korespondencji.

Artykuł jest o Jadwidzie, wszystkie te „informacje” o mnie są tu zupełnie niepotrzebne — po co je wymyślać?

Dalej —

na ul. Mostowej nie było powielacza (str. 62, w. 5g),
ani Adam Rysiewicz, ani Stefan Rzeźnik nigdy nie byli w naszym mieszkaniu (str.
63, w. 15d),

kolporterki czekały na ulicy, nie wpadały do mieszkania po odbiór materiałów (str.
63, w. 11d).

Nie jest też prawdą, że w sierpniu 1944 r. Jadwiga wyjechała „w pole” (str. 69,
w. 11d) — często wyjeżdżała do oddziałów, ale na kilka dni, mieszkała jednak
i pracowała w Krakowie.

Dlaczego pisze Pan (str. 72, w. 2g), że leżała samotna i opuszczona? Miała męża
i kilkunastoletnią córkę, którzy się nią opiekowali. To zdanie bardzo ich krzyw-
dzi. Niestety, nie mogą się bronić — On już nie żyje, a Zosia mieszka zagranicą.

Charakter Jadwigi, Jej zaangażowanie, aktywność i działalność zostały dobrze
pokazane — szkoda, że poparte nieprawdziwymi, chociaż nieistotnymi informacja-
mi.

Kopię tego listu wysyłam do redakcji „*Almanachu...*”.



SPIS TREŚCI

Maria Kowalska WINCENTY GAWRON — ARTYSTA MALARZ, GRAFIK I WITRAŻYSTA	3
---	----------

Józef Bieniak MIŁOŚĆ — NIEJEDNO MA IMIĘ	10
--	-----------

Maciej Zaremba 90 LAT ODDZIAŁU „BESKID” POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO W NOWYM SĄCZU CZĘŚĆ III 1990–1997	22
--	-----------

Opracował: Bogdan Potoniec PRASA NOWOSĄDECKA W LATACH 1891–1996 KATALOG CZASOPISM CZĘŚĆ II M — Z	31
---	-----------

Zofia Śniegowska WOJENNE LATA SZKOLNE W NOWYM SĄCZU	50
--	-----------

Paweł Szeliga KLUB LITERACKI „SĄDECCZYNA”	55
--	-----------

Władysława Lubasiowa „KROPKA NA HORYZONCIE” (ARKUSZ POETYCKI)	59
Tadeusz Basiaga OPOWIADANIA	72
Marek Basiaga KUDYBY WIERNOŚĆ POETYCKA	82
Jerzy Giza STANISŁAW KASINA — SĄDECZANIN, ŚWIATA OBYWATEL	91
LISTY, OPINIE I POLEMIKI	95



Przedsiębiorstwo Produkcyjno Handlowo Usługowe

33-300 Nowy Sącz

Gwardyjska 37

tel.(018)414799, tel./fax (018)412825

DRUK OFFSETOWY

OPAKOWANIA KARTONOWE

ETYKIETY (dowolny kształt)

KSIĄŻKI

FOLDERY

PLAKATY

NAKLEJKI

KALENDARZE

ULOTKI

LAKIEROWANIE UV i IR

SZTANCOWANIE (do formatu B1)

SITODRUK

OPAKOWANIA TEKSTUROWE

FLEKSOGRAFIA

DRUK NA POLIPROPYLENIE

DRUK NA POLIETYLENIE

W najbliższym numerze między innymi:

■ **O ks. Janie Sygańskim**

■ **Zwyczaje weselne w Łukowicy**
